

zdarzenia

KRAKÓW 27 IX 1959 r. ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY GAZETY KRAKOWSKIEJ Nr 39 (125) CENA ZI 1.50



WESOŁE MIASTECZKO PRAWIE IDEALNE

Sklada się na nie wiele pomysłowych urządzeń, mogących zabawić zarówno dorosłych jak i dzieci. Po raz pierwszy bodajże zerwano tu z jarmarcznym prymitywem. Podobne wesołe miasteczka mają wiedeńczycy, prażanie, moskwiczanie, paryżanie. U nas na takie prawie idealne wesołe miasteczko zdobyli się dotychczas Katowice. Szkoda, że w Krakowie nie ma czegoś takiego. Szerzej na ten temat w artykule „A to ubaw” na stronie 6-tej bieżącego numeru.
Fot. W. Książek

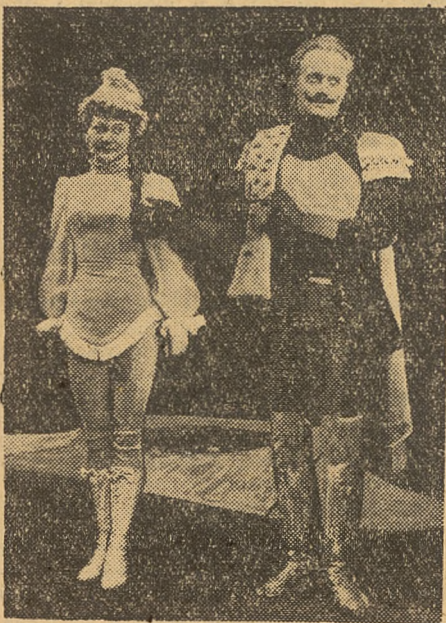


Modne fałszywe futra

Tej jesieni i zimy są w modzie wszelkiego rodzaju misie, nylony i inne sztuczne futerka. Demonstrujemy takie futro na tej pani, której towarzyszy zebra. Powyżej — modna sukienka cocallowa. Warto o podobnej pomyśleć. Przecież karnawał coraz bliżej.



ZE »ZDARZENIAMI« DO TEATRU ZE ZNIŻKĄ 45%



NA OGÓLNE ŻĄDANIE CZYTELNIKÓW WZNAWIAMY, WRAZ Z NOWYM SEZONEM TEATRALNYM, NASZĄ UBIEGŁOROCZNĄ AKCJĘ, KTÓRA CIESZYŁA SIĘ OLBRYMIM POWODZENIEM.

Inaugurujemy naszą akcję wizytą w TEATRZE LUDOWYM W NOWEJ HUCIE. Dnia 26 i 27 bm. to jest w sobotę i niedzielę.

A więc już jutro i pojutrze spotykamy się w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie na sztuce Al. Fredry „Gwałtu co się dzieje”.

ANKIETA

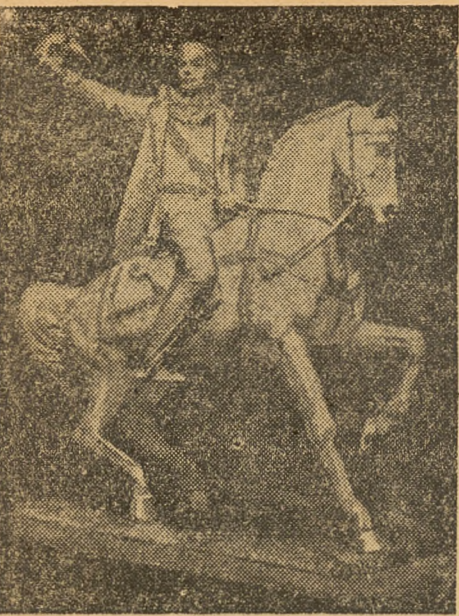
- 1) Mój ulubiony aktor Krakowa
- 2) Moja ulubiona aktorka Krakowa
- 3) Ostatnie krakowskie przedstawienie, które zrobiło na mnie największe wrażenie
- 4) Co wole teatr czy kino?
- 5) Jaką sztukę chciałbyś widzieć w naszym Teatrze?

wiek zawód

KUPON

wraz z wypełnioną ankietą upoważnia do nabycia jednego biletu ze zniżką 45 proc. do Teatru Ludowego w Nowej Hucie w dniach 26 i 27 września 1959 roku.

WYTNIJ I ODDAJ W KASIE TEATRU.



KOŚCIUSZKO ZNÓW NA WAWELU

Po Mickiewiczu wraca do Krakowa Kościuszko. Tym — razem wraca via Drezno, które odbudowało tę pamiątkę narodową, tak drogą każdemu polskiemu sercu i przekazuje ją Krakowowi w darze. Pomnik wróci na swe dawne miejsce tj. na bastion Władysława IV na wzgórzu wawelskim, przy wejściu od strony ul. Podzamcze, gdzie tak mu było „do twarzy”. Pomnik oglądany z profilu zyskiwał na wyrazie. Gdyby go ustawiono na Rynku, jak to było w projekcie, wystąpiłyby szczególnie ostro braki. Przewidywały to T-wo Upiększania Miasta i Rada Artystyczna, które w r. 1911 kategorię sprzeciwu się usytuowaniu pomnika na Rynku. Powodował wówczas na dziedzińcu Straży Pożarnej...

Pomysł umieszczenia pomnika na Wawelu w tak szczególnym miejscu zawdzięczamy inż. arch. Adolfowi Szyszko-Bohuszowi i Mieczysławowi Stępowskiemu oraz Komitetowi Restauracji Wawelu, który na tę koncepcję szybko się zgodził.

Po wojnie liczone się z możliwością odbudowy pomnika, gdyż zachowała się makietka w Muzeum Narodowym. Wyłączano jednak możliwość umieszczenia go na dawnym miejscu, gdyż noszone się z zamiarem odbudowy obwarowań wawelskich i odtworzenia bastionu Władysława IV w pierwotnej postaci. Zwyciężył jednak względy tradycji i jak pomnik Mickiewicza wrócił na Rynek wbrew najrozsądniejszym spekulacjom mniej lub więcej sensownym,

tak obecnie pomnik Kościuszki wróci na Wawel.

Swoją drogą habent sua fata... pomniki. W roku 1918 noszono się z zamiarem ustawienia pomnika w formie obelisku na Placu Szczepańskim, wówczas noszącą nazwę placu Gwardii Narodowej. Były także projekty umieszczenia obelisku na „Rynku Krakowskim” a nawet... w katedrze wawelskiej. Na szczęście pomysły obelisku upadły.

W r. 1893 ustawiono pomnik z gipsu na Rynku, dając mu patynę spizowa. Wyobrażał on Kościuszkę w momencie składania przysięgi. To przewidywano szybki rozbiegano.

Gdy w roku 1900 zatwierdzono projekt prof. Leona Marconiego, Rada Miejska zażądała, by odlew był wykonany w kraju. Podjęta się tego trudnego zadania firma „Dędrzyński i Loria” w Podgórzu. W trakcie robót w r. 1903 nastąpił potężny wylew Wisły, który uszkodził poważnie pomnik i makietę oraz zalał pracownię. Trzeba było zwrócić się do Wiednia o ratunek.

Potem pomnik ukryto wstydliwie na dziedzińcu Straży Pożarnej i dopiero w r. 1917, w związku ze 100-leciem śmierci Kościuszki, poczęto myśleć o ostatecznym znalezieniu miejsca dla pomnika. Odstąpiono definitywnie od Rynku, gdzie umieszczono jedynie prostokąt z granitu a Kościuszko pocwałował na Wawel.

Hitlerowcy pocięli pomnik na złom. Dzięki uratowanej makiecie można było odtworzyć, tym razem w Dreźnie. SEP

ZDARZENIA TYGODNIA

DEKLARACJA DE GAULLE'A W SPRAWIE ALGERII

W ogłoszonej — od dawna zapowiadanej — deklaracji de Gaulle zapowiedział, że najpóźniej w cztery lata po ustanowieniu w Algierii pokoju ustali datę referendum ludowego, w którym Algierczycy wypowiedzą się, czy chcą oderwać się od Francji, połączyć się z nią całkowicie, czy też związać się z Francją unią. Ta właściwie bezterminowa deklaracja została nieprzychylnie przyjęta przez Algierczyków.

BILANS TARGÓW JESIENNYCH

Na tegorocznych Targach Jesiennych, w których wzięło udział 2.500 wytwórców, zawarto ponad 23 tys. transakcji na kwotę 12 mld. zł. Targi odwiedziło 120 tys. osób.

15 LAT CHŁOPSKEGO STRONNICTWA

17 września 1944 półtora tysiąca ludowców wznowiło działalność radykalnej partii chłopskiej „Stronictwa Ludowego”. Dla uczczenia tej historycznej daty odbyły się w Lublinie uroczystości, w których wzięło udział kilkuset działaczy chłopskich.

POLSKA INTERESUJE SIĘ ZAGRANICĄ

W Polsce gościli w tych dniach z oficjalną wizytą minister komunikacji Szwecji G. Skoglund oraz minister handlu zagranicznego Włoch del Dino. Omawiali oni możliwości rozwoju wymiany handlowej z Polską.

SKRÓCONY DZIEŃ PRACY W ZSRR

Do końca przyszłego roku w ZSRR zostanie skrócony dzień pracy do 7 godzin dla wszystkich robotników i pracowników umysłowych i do 6 dla robotników wykwalifikowanych zatrudnionych pod ziemią. Najniższe płace zostaną podwyższone do 400—450 rubli.

POŻAR KOPALNI WĘGLA W SZKOCJI

W kopalni węgla Auchengeigh koło Glasgow w Szkocji wybuchł groźny pożar, który pochłonął 47 ofiar. Była to największa katastrofa w historii Szkocji.

TRAGICZNA POWÓDZ W INDIACH

Wylew rzeki Tapti i Narada w stanie Bombaj w Indiach spowodował groźną powódź, która zalała kilkadziesiąt km kw. po-

wierzchni, pociągając za sobą śmierć tysięcy ludzi i zniszczyła 5 000 domów.

NAJKRÓCEJ I NAJCIĘKAWIEJ

A Pilecka w czasie jazdy autostopem na samochodzie ciężarowym zawieruszyła gdzieś but. Wsiadając w Łodzi zaświeciła zapalniczkę, aby zagubiony but odnaleźć. Samochód naładowany barwną stanął w płomieniach. Ładunek spłonął doszczętnie.

P rzez ulicę Zielonej Góry przejechał „samochód widmo”. Był to samochód ciężarowy Fiat, który kierowca zle zabezpieczył. Samochód „urwał” się z parkingu i zatrzymał dopiero na ścianie budynku. Ofiar żadnych nie było. Znajdujący się na samochodzie pasażerowie zdołali w porę zeskoczyć.

Mieszkaniec Nowych Tych Bolesław Majewski wiedząc o tym, że ob. J. D. z Warszawy jest zasobny w gotówkę, a równocześnie podobny do jednego z niebezpiecznych morderców, postanowił to wykorzystać. W tym celu wyjechał do Warszawy gdzie podpisując się „Kwiatek” wysłał do ob. J. D. listy z żądaniem okupu. Kiedy Majewski został ujęty jako szantażysta przez MO tłumaczył się, że jako „amator detektyw” chciał pomóc MO w wykryciu bandytów.

Ryszard Tabacziński i Ryszard Roykiewicz z Warszawy zaproponowali swemu znajomemu milicjantowi Henrykowi W., aby pod pozorem rewizji pomógł im wydobyć kosztowności zamurowane w mieszkaniu przy ul. Wiodok 18. Milicjant zgłosił ten fakt swym władzom, amatorzy skarbu zostali aresztowani. Władze śledcze wydobyły ze ściany mieszkania zamurowaną rurę, w której znajdowały się 293 złote monety 20-dolarowe, 177 sztuk złotych 10-dolarówek i 8 złotych monet 5-cio dolarowych.

Na terenach wykopaliskowych we wsi Trzesówka w powiecie kolbuszowskim geolodzy dokopali się starego słowiańskiego cmentarzyska. M. in. znaleziono kilka ozdób brązowych, które po odczyszczeniu świeciły jak złoto. W nocy grupa mieszkańców wsi rozpoczęła poszukiwania na własną rękę. Wielkie było ich rozczarowanie, kiedy oprócz starych skorup nic nie znaleźli.

Minister Ludownictwa inż. Pertrusewicz podwiózł swoim wozem łebka w Warszawie. Kiedy minister nie chciał przyjąć zapłaty wrzuczył łebek oświadczył: „Jestem kierownikiem budowy. Jeśli będzie pan potrzebował trochę cegły cementu lub blachy, to za pańską grzeszność zawsze się coś znajdzie”.

PARIS MATCH — CZOŁOWY TYGODNIK FRANCUSKI — OPUBLIKOWAŁ OSTATNIO SERIE NIEZWYKLE INTERESUJĄCYCH ZDJĘĆ Z ŻYCIA RODZINNEGO PREMIERA ZWIĄZKU RADZIECKIEGO N. S. CHRUSZCZOWA. ŚWIETNY FOTOGRAF WALTER CARONE WYKONAŁ TE ZDJĘCIA W WILLY ZAMIESZKIwanej PRZEZ PREMIERA I RODZINĘ — 32 KILOMETRY OD MOSKWY.



PREMIER N. S. CHRUSZCZOW W USA

„NARESZCIE SPOTKAŁEM PRAWDZIWYCH AMERYKANÓW!”

19 września sobota.

Chruszczow na pokładzie amerykańskiego samolotu wojakowego C-137 wyleciał do Los Angeles i Hollywood. W Hollywood w przyjęciu uczestniczyli wszyscy wybitni aktorzy m. in. Marilyn Monroe, Elizabeth Taylor, Gary Cooper, Kim Novak, Zsa Gabor, Danny Kaye i inni. Po przyjęciu na którym Chruszczow wygłosił przemówienie, goście uczestniczyli w nagraniu scen tanecznych filmu Can Can. Popołudnie przeznaczono na zwiedzenie Los Angeles.

20 września niedziela.

Chruszczow wyjechał specjalnym pociągiem z Los Angeles do San Francisco. W czasie przejazdu szczególnie gorąco witała gościa radzieckiego tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci. W Santa Barbara policja nie zdołała utrzymać porządku. Tłumy zerwały barykadę i serdecznie witały Chruszczowa. W San Luis Obispo 7 tysięczny tłum zgłotował Chruszczowowi gorącą owację.

21 września poniedziałek.

Pociąg wiozący Chruszczowa przybył do San Francisco w godzinach porannych. Na ulicach premiera ZSRR witały gorąco tysiące tłumy. Plac przed hotelem Hopkinsa, gdzie zamieszkał Chruszczow i wewnątrz hotelu przepełnione były ludźmi. W San Francisco Chruszczow spotkał się na obiedzie z przywódcami amerykańskich Związków Zawodowych, odbył przejażdżkę po porcie, zwiedził fabrykę elektronowych maszyn do liczenia, a wieczorem wziął udział w przyjęciu w hotelu „Palace”.

22 września wtorek

Chruszczow wziął udział w przyjęciu w San Francisco, wydanym przez burmistrza, radę do spraw międzynarodowych Kalifornii Północnej i Klub „Commonwealth”. W przyjęciu uczestniczyło ok. 2 tys. przemysłowców, naukowców, działaczy i przedstawicieli kultury, działaczy społecznych. W przemówieniu Chruszczow mówił o konieczności utrzymania pokoju i przyjaźni między narodami ZSRR i USA. W godzinach wieczornych N. S. Chruszczow opuścił San Francisco i udał się do Des Moines — stolicy „pasa zbożowego” USA.

Sroda 23 września

Chruszczow w farmie Roswella Garsta zapoznał się z metodami uprawy kukurydzy, oraz zwiedził fabrykę przetworów kukurydzyanych w Johnston i Akademii Rolniczą w Ames.

Czwartek 24 września

Premier Chruszczow przebywał w ośrodku przemysłu stalowego w Pittsburgu.

W piątek i w sobotę premier Chruszczow przeprowadził rozmowy z prez. Eisenhowerem i spędził weekend na farmie prezydenta Eisenhowera, a w niedzielę 27 września opuścił USA.

CHRUSZCZOW PROONUJE;

Całkowite powszechne rozbrojenie

- Rozwiązanie wszystkich sił zbrojnych i zakaz ponownego ich stworzenia w jakiegokolwiek formie.
 - Zniszczenie wszystkich rodzajów techniki — wojskowej broni i zapasów sprzętu wojennego.
 - Całkowity zakaz stosowania broni jądrowej i likwidacja jej zapasów.
 - Całkowite przerwanie produkcji i zniszczenie wszelkich rodzajów broni rakietowej, włącznie z rakietami kosmicznymi przeznaczonymi dla celów wojskowych.
 - Zakaz stosowania broni chemicznej i bakteriologicznej i zniszczenie zapasów tej broni.
- Rozbrojenie winno być całkowite i powszechne. Państwa powinny pozostawić jedynie ustalone kontyngenty policji wewnętrznej dla zabezpieczenia porządku. Rozbrojenie winno być zrealizowane trzema etapami w ciągu czterech lat.



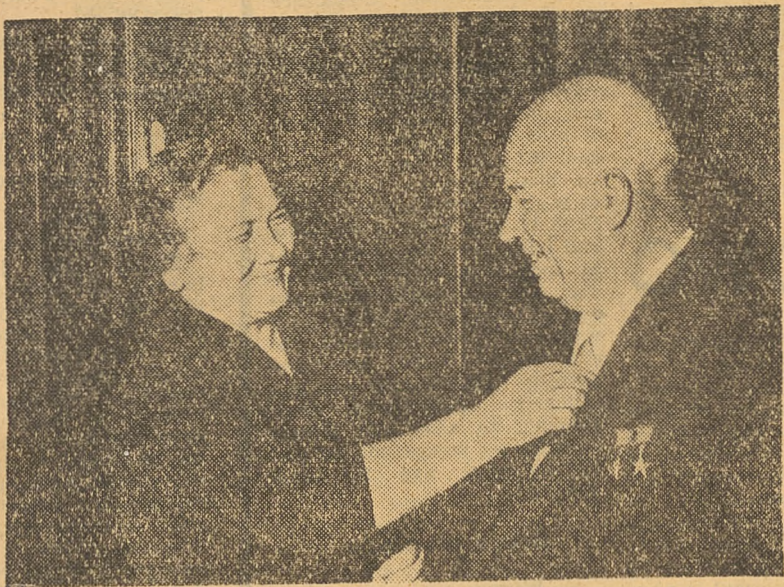
P rzez szereg dni odbywały się w Warszawie koncerty muzyki nowoczesnej. Impreza ta zdobyła sobie już w szerokim i wąskim świecie muzyków bardzo znaczącą pozycję. „Warszawska Jesień” pomyślana początkowo jako coś podobnego do czeskiej „Praskiej Wiosny” stała się już imprezą o najszerzym rezonansie. Wszyscy wiedzą, że sztuka nowoczesna jest dziwna, to znaczy inna niż sztuka tradycyjnie uważana za sztukę. Poeci piszą bez rymów albo jeszcze i bez innych atrybutów poezji tradycyjnej, malarze malują stosując w swojej twórczości „przewagę czynności czysto manualnych” (ręcznik), jak się wyraża pewna młoda krytyczka, muzycy zaś uciekają na gwałt od melodii, grzebiąc w ten sposób wszystkie walce a także nocturny i pastorałki. Muzyka staje się czymś zupełnie, ale to zupełnie, innym. I staje się rzeczą bardzo zmienną: ta dziwność wcale nie przeszkadza ludziom, nie znającym się na żadnej muzyce, nawet na walcach Straussa, zachwycać się ilustracją muzyczną, zrobioną właśnie przez twórców muzyki konkretnej do filmów, nawet do produkcji niaktów. Jeden z takich ilustrowanych muzyką konkretną (szmery, zgrzyty, dźwięki „przypadkowe” i nieprzypadkowe) oglądaliśmy w Krakowie — a był to film Tadeusza Łomnickiego o Nowej Hucie, konkretnie o spuście stali. Nie padło tam ani jedno słowo, nie ma żadnego tekstu napisanego, nie ma w ogóle komentarza, żadnego rodzaju. Jest tylko barwny obraz ciężkiego fizycznego wysiłku, ludzkiej, napiętej uwagi, jest żar i gorąco jak w piekle — i jest to wszystko nalożone na odważną nowoczesną muzykę konkretną. Wynik jest zupełnie wstrząsający. Nawet w samej Nowej Hucie, gdzie ten film oglądałem — ludzie na początku nie zdawali sobie sprawy, co się z nimi dzieje, patrzyli i słuchali jak urzeczeni. Być może większości wydawało się, że to slychać autentyczne dźwięki Huty, przesuwanie się suwnic i stuk wybijaków, szum wylewającej się do wlewków stali. Na pewno 90 procent obecnych na projekcji nigdy nie słyszało o muzyce konkretnej, a gdy radio warszawskie nadawało kilka razy koncerty Schaeffera, właściwego twórcy muzyki konkretnej — większość osób wyłączała głośniki lub przestawiała fale. Ta muzyka

jest abstrakcyjna. Ta muzyka musi mieć połączenie z czymś, co się da obejrzyć oczami. Jest to składowa część sztuki w ogóle, a chyba malarstwa w szczególności. Malarstwa ruchomego — jakim jest film, przede wszystkim.

Pamiętają niektórzy z czytelników teatr Cricot-2, którego odnowienie repertuarowe zapowiada znany krakowski malarz abstrakcyjny, Tadeusz Kantor. Otóż w czasie jednego z programów pokazywano przez jakiś czas tzw. kineformy Pawłowskiego. Były to ruchome cienie kawalków papieru, poruszające się w specjalnie skonstruowanej skrzynce z rzućnikiem, ilustrowane właśnie niezorganizowanymi pozornie dźwiękami. Wrażenie czyniło ogromne. Potem to filmowcy nasi sfilmowali, pokazywano, o ile pamiętam, w kinie raz czy dwa razy, ponoć nawet są jakieś sukcesy zagraniczne tej formy sztuki nieprzedmiotowej. Sztuka więc, jak się to nam teraz rysuje — odchodzi na stałe od tego, co się nazywa Matejka, Gierzymskim i innymi realistami. Sztuka zaczyna być, o paradoksie, sztuką stosowaną, jakkolwiek mieni się abstrakcyjną. Nie przedstawiające malarstwo znajduje zastosowanie w architekturze. Kolorowe domy Nowej Huty, które podobają się wszystkim i przywodzą na myśl marzenia Stefana Żeromskiego o „szklanych domach”, muszą podobać się wszystkim. Nazwanie w Nowej Hucie jednego z osiedli — osiedlem szklanych domów jest chyba tego najlepszym potwierdzeniem. Kolor, dźwięk, lekkość — jakkolwiek wcale nie pragnąc nazywać siebie tak, żeby było „ideologicznie słusznie” — zaczynają dominować w naszym budownictwie. Zastęga malarzy, którzy zerwali z tradycyjnymi pojęciami sztuki i mają w Polsce stworzone warunki do twórczości nieczym nie skrupowanej. W Trybunie Ludu, organie KC naszej partii pojawiają się mądre recenzje oceniające wartości nowej muzyki (recenzje z Warszawskej Jesieni), ponieważ partia nie uważa, aby poszukiwania formalne mogły w czymkolwiek zagrażać socjalizmowi i jego ideologii. Jesteśmy już dojrzałymi pod tym względem i z tego trzeba się cieszyć.

Bardzo dobrze, że dane jest nam uczestniczyć w czasach, które zupełnie wyzbyły się dogmatycznych uprzedzeń, których ślady mamy w ponurym budynisku np. administracji Huty im. Lenina. Nie wiąże się to wprawdzie z tematem muzyki konkretnej, ale przykład — bardzo nam bliski przez swoją odstręcającą się — i konkretny jak mało co.

PRYWATNE ŻYCIE PREMIERA



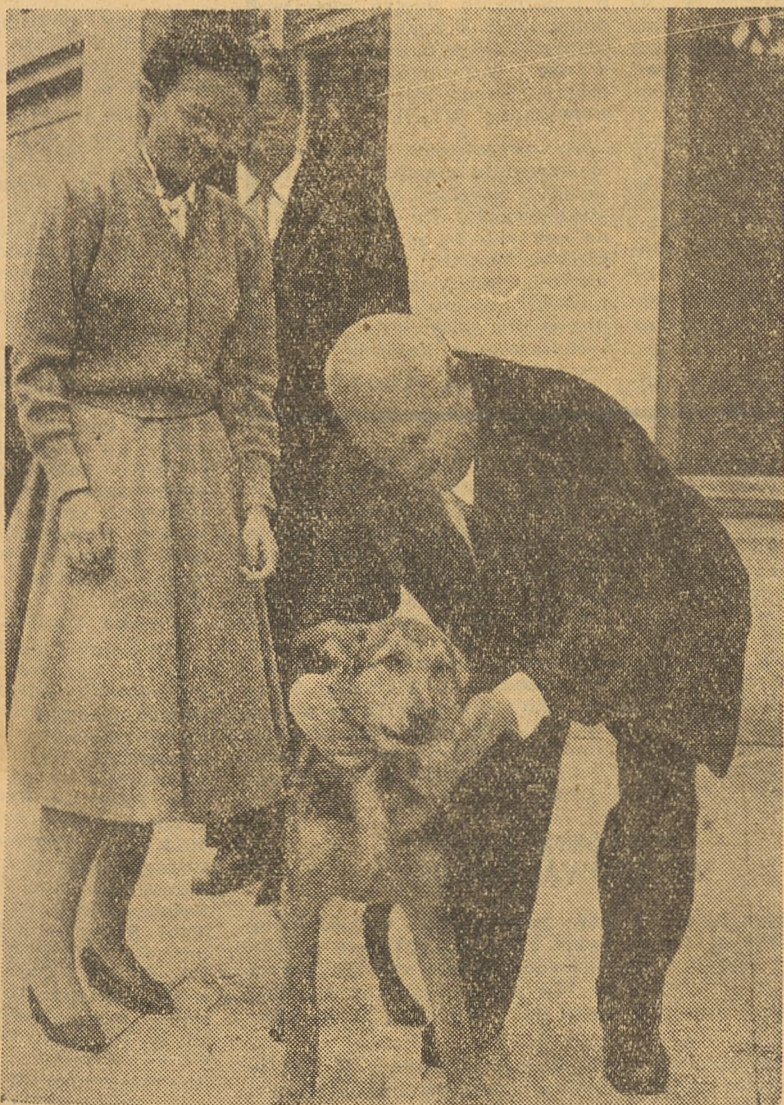
Małżonka premiera poprawia mu krawat przed dokonaniem przez fotografa oficjalnego zdjęcia.



Przed willę zajeżdża ZIL (najnowocześniejszy model): wysiada rodzina Premiera. Fotograf uchwycił moment opuszczania samodu przez N. S. Chruszczowa w towarzystwie wnuczka Aloszy.



Partia bilardu z wnuczkim Aloszą.



Premier z 21-letnią córką Heleną (studentka) i z ulubionym wilczurem Arbatem.

SĄDECCZYNA BŁYTNA

WYMOWA CYFR

BIBLIOTEKI

— wzrosły blisko 8-krotnie. Sądeckie posiada bibliotekę miejską, powiatową, 41 bibliotek gromadzkich, 156 punktów bibliotecznych po wsiach. Łącznie dysponują one 140 tysiącami książek. Księgozbiór samej biblioteki miejskiej wzrósł w porównaniu z rokiem 1937 z 10 tysięcy do 45 tysięcy tomów.

BUDOWNICTWO

— w 15-lecie Polski Ludowej zbudowała sądecka wieś 3.700 budynków mieszkalnych oraz 2.800 gospodarstw. Gdyby je wszystkie ustawić obok siebie w jednym szeregu, sięgałyby swym czołem aż po Kraków — w prostej linii wąż taki miałby 97,5 km. Budownictwo indywidualne uzyskało od państwa w latach 1956—59 blisko 10 mln zł kredytu.

CZYTELNICTWO

— miesięcznie rozchodzi się w Sądeckim 215 tysięcy gazet i czasopism. Na jednego mieszkańca powiatu przypada ponad półtorej gazety. Z bibliotek korzysta na każdych 100 mieszkańców 20 czytelników.

DROGI

— były złe, są lepsze. Zostało zbudowanych 150 km szos, kilkadziesiąt kilometrów miejskich ulic

ELEKTRYFIKACJA

— w dwudziestolecie przedwrześniowym zelektryfikowano zaledwie 5 wsi sądeckich. W naszym 15-leciu otrzymało światło 88 wsi. Gdyby elektryfikacja wsi szła obecnie w takim rozpędzie jak przed wojną światła w 88 naszych wsiach rozbiłyby dopiero za 330 lat.

LECZNICTWO

— posiadało w latach Polski sanacyjnej 180 łóżek szpitalnych, 3 miejskie przychodnie i 55 lekarzy. Dzisiaj kadra służby zdrowia wzrosła 12-krotnie. 2 szpitale dysponują 600 łózkami, powstało 15 ośrodków zdrowia, punkty felczerskie i izby porodowe.

SZKOLNICTWO

— rok 1939 rejestrował 164 szkoły podstawowe, w nich 7-klasowych 21. Rok 1959 rejestruje 182 szkoły podstawowe, w nich 7-klasowych 140. Przed wojną pracowało 360 nauczycieli, dzisiaj 800. Zostało zbudowanych i poszerzonych 78 szkół, 13 dalszych budynków szkolnych w budowie.

— Ale przyszłość Sądeczyny to przede wszystkim turystyka. Co roku coraz więcej turystów odwiedza tę piękną ziemię. W 1957 roku przebywało tu czasowo 84.702 turystów. W 1958 już 98.960. Do sierpnia br. 106.785.

— Powstają nowe ośrodki campingowe i sportowe nad jeziorami, domy turystyczne i schroniska, buduje się nowe drogi. Prowadzą one Sądeczynie na szeroki trakt pełnego wykorzystania możliwości.

— Eksperyment sądecki wydaje pierwsze owoce. Za nim pójda inni.

— Kto następny z inicjatywą?

(żuk)

Bogactwo krajobrazów — jeziora, góry, czyste rwące rzeki, źródła mineralne, wspaniałe puszcze i rezerwy. Na wrześnieńskich rykowiskach można usłyszeć ryk jelenia a na południowych krańcach powiatu bór przecinają ryś ścieżki. Nie ma tu wielkich fabryk ani żyznych polaci ziemi. Chłopskie wąskie poletka na garbach gór przecinane gajami, kilka uzdrowisk. I właśnie w tym pięknym, lecz niebogatym powiecie grupa ludzi rozpoczęła nową gospodarkę — zwaną eksperymentem sądeckim.

EKSPERYMENT

— Jeden z czołowych działaczy Sądeczyny, poseł na Sejm PRL dr Zbigniew Gertych tak mówi o tym przedsięwzięciu:

— Zaczęło się od na pozór niewiele znaczącej sprawy. Kiedyś dawno, bo chyba w 1954 roku stały „na tapecie obrad” spółdzielnie produkcyjne, a wraz z nimi problem, czy gospodarstwa w górach sądeckich muszą być pod bilansem. Analizy, egzekutywy, plena partyjne i radzieckie, konsultacje, konferencje, wszystko na jedną melodię dlaczego nie zboże, a jeśli nie zboże to co? Zabrali się do dzieła fachowcy i wtedy okazało się, że nie schematyczne zboże, ale to, na co przyroda i warunki pozwalają. Tak rozpoczęła się praca, która sięgnęła później do całości gospodarki tego, zdawałoby się jednego powiatu.

— Liczyli się tylko wiedza, doświadczenie i troska o sprawę. Z tych dumań nielicznej garstki gromadzącej się wówczas w Stowarzyszeniu Inżynierów i Techników Rolnictwa wyrosła zwarta grupa ludzi dobrej woli, którym Sądeczyna leżała na sercu w myśli, we krwi. Od pierwszych sporów i narad towarzyszyła grupie „buntowników” opieka nowego wówczas Komitetu Powiatowego Partii. Razem z nimi dumał, śmiało sprzeciwiał się schematom, odważnie bronił sprawy przed ksiązkowo-urzędowym beserwiserstwem urzędników z tzw. szczebli.

— Nie zboże i kukurydza, nie przemysł, ale największe bogactwo tej ziemi, przyroda, zajęła od nowa „tapetę obrad”.

— Szwajcaria żyje z Alp. Hiszpania z Pirenejów, Bułgaria z czarnomorskiego wybrzeża. Sądeczyna postanowiła eksportować słońce, powietrze i ozdrowieńcze źródła Beskidów. Dlatego główny kierunek rozwoju powiatu wykreślała funkcja leczniczo-turystyczna regionu. Przemysł i rolnictwo zeszyły na plan wtóry, podporządkowane linii głównej. Sadownictwo, przetwórstwo owocarskie, hodowla, rzemiosło zwyczajne i tradycyjno-ludowe, wszystko to poszło w służbę Turysty. Opracowaliśmy plan reorganizacji handlu, usług — słowem wszystko, co dotyczyło kompleksowego gospodarzenia na naszym terenie. A potem do sądeckich zapaleńców przyłączyli się rodacy z Warszawy, Krakowa, Szczecina, a nawet z granicy.

STOLICA

— Stolica eksperymentującego powiatu — Nowy Sącz. Miasto odmienione w ostatnich latach, przeżywające swój wielki renesans. Oświetlenia, trawniki, klomby, kwietniki — rzucająca się w oczy czystość. Na ulicach ruch — dużo chiopów z okolicznych wiosek.

— Życie miasta toczy się wartko, niewiele się różni proporcjonalnie od nurtu miasta wojewódzkiego. Zaglądam na rynek do sklepu meblarskiego. Dużo kupujących. Przed dwoma laty sprzedano mebli za 6 mln zł, w ubiegłym za 9 mln zł. W tym roku codziennie sprzedaje się tu mebli na sumę kilkudziesięciu tysięcy złotych.

— Kwartalnie sprzedaje się 100 pralek elektrycznych, a zapotrzebowanie jest dużo większe. By nasycić rynek, potrzebnych jest w przyszłym roku około 2000 pralek. Na motocykle jeszcze większy popyt. Oto powiatowe miasteczko anno domini 1959. Nieraz marginesy najbardziej uwyppuklają rzeczy istotne.

— Ale wielkie przeobrażenia dokonały się nie tylko w stolicy eksperymentującego powiatu. Kazimierz Węglarski, przewodniczący prezydium PRN oraz Janusz Pieczkowski, przewodniczący Prezydium MRN w ciekawym „Abecadle 15-lecia” (zamieszczonym w jednodniówce „Ziemia Sądecka”) relacjonują:

Wywiad z doc. dr Kazimierzem Kordylewskim

CZY SĄ KANDYDACI NA KSIĘŻYC

JAK WYGLĄDAŁ LOT RAKIETY?

Wszystkie rakiety wystrzelone dotychczas w przestrzeń, biegly początkowo pionowo, aby jak najprędzej przebić się przez warstwę atmosfery ziemskiej. Tak też było z Łunnikiem II, który — wystrzelony według naszych obliczeń ok. godz. 10 rano, prawdopodobnie w okolicach Morza Kaspijskiego, powędrował w przestrzeń.

— Wyróżniamy dwa etapy lotu: lot pionowy do wysokości ok. 300 km, mający na celu wydotanie się z warstw atmosfery, oraz lot biegnący prawie poziomo po wytyczonym torze na Księżyc. Do lotu pionowego potrzebna jest wieloczołowa rakietka. Po kilku sekundach ustaje napęd pierwszego człona, który spada łukiem na ziemię, a pozostała część rakiety idzie w górę bez napędu, z malejącą stopniowo prędkością. Dopiero drugi człon rozpędza już mniejszą masę, po czym oddziela się i spada. Ile było tych członów, na razie nie wiemy. W każdym bądź razie potrzebne one były jedynie do wzniesienia rakiety. A więc szybkość nie miała tu zasadniczego znaczenia. Należy dodać, że całość rakiety już w czasie lotu pionowego nabiera ruchu wirowego (podobnie jak wystrzelona kula armatnia).

— Drugi etap lotu zaczął się na wysokości ok. 300 km, kiedy rakieta obrócono (prawdopodobnie — automatyczne sterowanie) w kierunku prawie poziomym i nadano jej tor na Księżyc. To nakierowanie nie było gwałtowne, lecz stopniowe. Już na ostatnim odcinku

lotu pionowego. Wówczas rakietka osiągnęła — dzięki ostatniemu członowi — właściwą prędkość kosmiczną. Znalazła się bowiem na wysokości, gdzie nie ma atmosfery, a napęd działa na mniejszą masę.

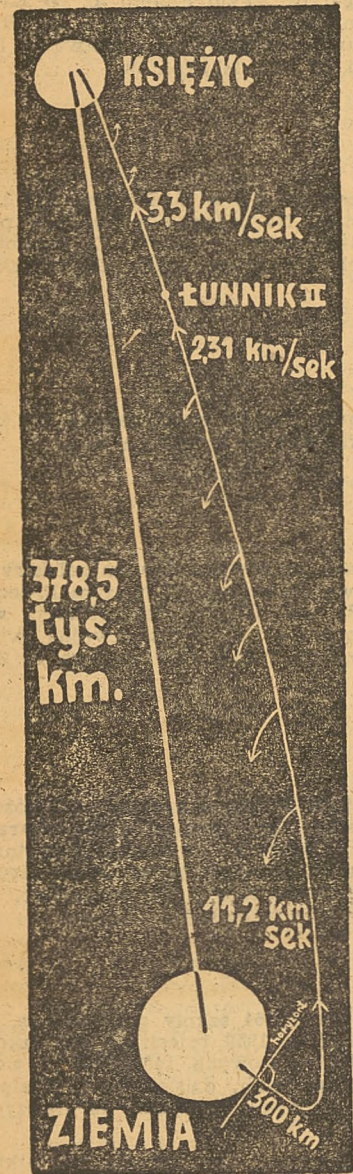
CZYM UZASADNIĆ RÓŻNICĘ SZYBKOŚCI?

— W locie pionowym rakietka osiągała szybkość zmienną. Od zera wzrastała coraz bardziej, po czym, po odłączeniu się człona pierwszego, stopniowo malała, aby dzięki napędowi następnego człona, znów wzrastać, a po jego odłączeniu się ponownie maleć prawie do zera. Ta zmienna prędkość trwała do momentu wzniesienia się rakiety poza atmosferę, tj. na wysokości ok. 300 km. W tym punkcie, po nadaniu rakiety lotu prawie poziomemu w kierunku wyznaczonego toru na księżyc, osiągnęła ona szybkość przekraczającą 11,2 km na sek. W miarę oddalania się od globu ziemskiego rosła energia potencjalna rakiety w stosunku do ziemi (jej przyciągania). Skutkiem tego musiała maleć energia ruchu (kinetyczna), redukując w efekcie szybkość lotu. Szybkość ta zmniejszyła się do 2,31 km/sek. Należy przypuszczać, że rakietka poruszała się z szybkością 2,31 km/sek na dość długiej przestrzeni, z uwagi na malejące coraz bardziej przyciąganie ziemi. Dopiero w odległości 66.000 km od księżycy przyciąganie ziemi było równe przyciąganiu księżycy. Od tego punktu zaznacza się przewaga przyciągania księżycy, co powoduje róż-

(Dokończenie na str. 4)

30 sierpnia 1955 r. w Gdyni znaleziono w przedziale wagonu dwie odcięte powyżej kolan nogi ludzkie. 9 września 1955 w bagażowni wrocławskiego Dworca Głównego otwarto koszyk z pozabawionymi nogami zwłokami kobiecy. Ustalono, że koszyk nadany był z Krakowa w dniu 29 sierpnia 1955. Po dwóch latach — w grudniu 1957 — aresztowany został w Krakowie pseudolekarz Stanisław Wójcik, bliski znajomy i ponoć dłużnik denatki — pokątnej handlarzki Marianny Gałuszko. Według aktu oskarżenia Wójcik sprowadził Gałuszkową do swego mieszkania i zgwałcił ją. Przy wysyłce poćwiartowanych zwłok koleją mieli mu pomagać: na odcinku mieszkanie — ulica — jego znajomy Kądziaława; później — zwerbownicy z dworca i nieznanymi mu osobami Kwapisz i Wyżga, Sąd I Instancji przyjął, że cała ta „ekspedycja” zwłok została dokonana pomiędzy godz. 16 — 17 w dniu 29 sierpnia 1955.

JAK WYGLĄDAŁ LOT RAKIETY?



CZY SĄ KANDYDACI NA KSIĘŻYC?

(Dokończenie ze str. 3)

— Rozpatrywana będzie sprawa z art. 225 kk oskarżonego Stanisława Wójcika, skazanego wyrokiem I Instancji na karę dożywotniego więzienia... Sala jest prawie pusta. Nie błyskają reporterskie „flesze”, nie ma tłumy publiczności, ani niespokojnej, podnieconej atmosfery, która otaczała w Krakowie tę sprawę, nie bez racji, jak się okaże, nazwaną już wówczas przez „Zdarzenia” — najciekawszym procesem 50-lecia.

Nie ma także oskarżonego. Przed Sądem Najwyższym występują tylko jego obrońcy.

Ubiegłej jesieni pisaliśmy: „Od kantów do zabójstwa droga jeszcze daleka, jej miarę — pozostawmy ocenie Sądu. Selekcja dowodów — i kontrdowodów ma dopiero nastąpić...”

A później, kiedy Sąd I Instancji uznał Wójcika winnym zarzucanego mu czynu:

„...obrońcy przygotowują rewizję od wyroku: sprawa stanie z kolei na wokandyzie Sądu Najwyższego. W ciemnej, zagmatwanej, trochę jakby z kart Dostojewskiego zaczerpniętej tragedii „gazeciarki” nie padło jeszcze ostatecznie słowo”.

Decyzja

Obrońca NORBERT GARCZYK.

— Rzecznikowi oskarżenia publicznego nie wolno postępować ze szkodą dla prawdy materialnej. Tymczasem śledztwo z góry postawiło tezę, że zabójcą może być tylko Wójcik: nikt inny. Na Wójcika przerzucano dowód niewinności, żądając, by właśnie on wskazał sprawcę. W tej sprawie zlekceważone zostały kardynalne zasady procesu karnego.

Prokurator CZESŁAWA MARYSZOWA.

— Zasada prawdy obiektywnej wymaga nie budzącego wątpliwości udowodnienia oskarżonemu stawianych mu zarzutów... Sąd I Instancji niesłusznie oddalił szereg istotnych wniosków dowodowych obrony. Stwierdzić należy, że zaskarżony wyrok jest dotknięty tak istotnymi brakami, niedomogi śledztwa są tak poważne, że wyrok I Instancji nie daje się utrzymać w mocy. Aczkolwiek nie zgadzam się z zasadnością wszystkich zarzutów podniesionych w rewizji — przychyliam się do wniosku obrońców o uchylenie wyroku.

W dniu 14 bm. Sąd Najwyższy uchylił wyrok I Instancji i przekazał sprawę Prokuratorowi Wojewódzkiemu do uzupełnienia śledztwa.

Pierwsza rewelacja

Obrońca PECZENIK dowodzi

— 29 sierpnia 1955 r. Wyżga nie mógł pomagać Wójcikowi przy nadawaniu kosza w czasie od 16.45 do 17.00 godz. Jak wynika z rozkładu jazdy, pociąg do Andrychowa odjeżdża ze stacji Borek Fałęcki dopiero o godz. 16.35, a nie o 16, jak to przyjęto w Sądzie I

Instancji. Pożegnawszy w Borku swoich znajomych, Brecków, których odprawił do tego właśnie pociągu, Wyżga musiał wracać z Borku na Dworzec Główny dwoma tramwajami (średni czas przejazdu — co najmniej 30 minut) tam spotkać się z Kwapiszem, pertraktować z Wójcikiem, jechać na Długą po koszyk, nadawać go, wyłożyć zawiniątko z nogami denatki na tzw. „teren Azja” czyli zaplecze stacji, do niepodstawione

OSTATNIE SŁOWO

go jeszcze na peron pociągu gdynskiego. Jak pomicieść w przyjętym przez Sąd I Instancji czasie wszystkie te czynności?!

Głos mają obrońcy

Obrońca KAROL PECZENIK

— Dlaczego świadkowie oskarżenia twierdzą, że widzieli Wójcika z koszem o zmroku, skoro o przyjętej przez Sąd I Instancji porze ekspedycji zwłok jest jeszcze w sierpniu zupełnie jasno? Dlaczego po zniknięciu Gałuszkowej już nigdy nie pojawili się w jej domu marynarze, którzy dostarczali jej

dwa miesiącach?... Jeśli Wyżga jechał z Borku Fałęckiego, mógł być na dworcu dopiero po 16.45 godz. W jaki sposób Wójcik porozumiał się z nim wcześniej, skoro o 16 widział go już czekającego przed domem?... Jak zdążył porozumieć się z Wyżgą i Kwapiszem, wrócić do domu, znieść koszyk przy pomocy Kądziaławy, znów jechać na dworzec, wyjąć część zwłok ze starannie zabezpieczonego kosza, umieścić to zawiniątko na to-

rze odległym o jakieś 20 minut drogi, nadać koszyk — i już o 17.20 spotkać się z ojcem i ze świadkiem Misiem w swym mieszkaniu?... Czy zabójca odważyłby się otwierać koszyk ze zwłokami na oczach nie mających nic wspólnego ze zbrodnią ludzi, do tego w tłoczonym hallu dworcowym, w porze nasilonego ruchu? Po co Wójcik wyjmował gotowe już zawiniątko — czyżby z góry był przygotowany na nadwagę przesyłki? Wyżga twierdził, że koszyk otwierał się lekko, bo był owinięty tylko sznurkiem. Tymczasem komisja we Wrocławiu otwierała starannie odrutowany koszyk przez 15 minut. W pierwszej długiej fazie

W SPRAWIE

szmuglowanych papierosów w klatce na gołębie?... Kim byli ludzie, usiłujący „rewidować” mieszkanie Zapaskowej, gdzie denatka dokonywała wszystkich swych transakcji? Skąd wzięła się przy zwłokach „Gazeta Pomorska” — i to wydanie terenowe, kolportowane tylko w powiecie Grudziądz? Dopiero komunikat prasowy skłonił sąsiadki Wójcika do pierwszych zeznań. Po drugim komunikacie — obie pamiętały już znacznie więcej... Świadek Osiecka pamięta nawet po 3 latach — a 3 lata, to blisko 1100 dni! — którą ręką trzymał Wójcik koszyk. Nie pamięta nato-

śledztwa Wyżga mówił tylko o jakiejś kobiecie, która poleciła mu nadanie kosza. Kwapisz — mówi o jakichś mężczyznach i dwu kobietach, później — o jednej tylko kobiecie... Osoba Wójcika pojawia się w ich zeznaniach dopiero w okresie, kiedy prasa zamieszczała już sugestywne komunikaty z nazwiskiem i adresem podejrzanego.

Głos ma prokurator

Oskarżycielka publiczna z ramienia Prokuratury Generalnej, CZESŁAWA MARYSZOWA

— Poszczególni świadkowie

WÓJCIKA?...

miast silnej burzy, która przeszła nad Krakowem w owym dniu. Świadek Barszczowa pamięta przerażoną twarz Wójcika, ale nie pamięta ówczesnej ciężkiej choroby swojej matki.

Obrońca JAN RANICKI — Dlaczego Wyżga i Kwapisz milczeli tak długo w śledztwie, skoro mówiąc o Wójciku, mogli z miejsca odzyskać wolność?...

Obrońca NORBERT GARCZYK

— Jakim sposobem krytycznego dnia świadkowie widzieli Wójcika w charakterystycznym garniturze „pieprz z solą” skoro (na co jest nie dopuszczony przez Sąd I Instancji dowód) ubranie takie sprawił sobie później, dopiero po

wskazywali całkiem odmiennie usytuowanie kosza w bramie. Dlaczego pozostała poza kręgiem rozważań Sądu I Instancji możliwość, że po prostu — każda z tych osób widziała Wójcika w innym dniu?... Świadek Kądziaława przy pierwszym przesłuchaniu opisywał nawet wygląd dorożkarza, który miał czekać przed bramą. Przy dalszych przesłuchaniach — oświadcza już, że w ogóle nie widział żadnego dorożkarza, że pomagał Wójcikowi znieść jakiś koszyk tylko do hallu, to znów przed bramą... Tak istotne sprzeczności uszły uwadze Sądu. Nie żądano wyjaśnień. A przecież wiarygodny świadek nie może zeznawać na początku bar-

dzo wiele, a potem — coraz mniej. Zeznania wszystkich głównych świadków oskarżenia nie stwarzałyby wątpliwości tylko wtedy, jeśli byłyby konsekwentne, mieszczące się w przyjętym przez Sąd czasie i nie kolidujące z sobą.

Nawet Kądziaława podtrzymał stanowczo tylko jeden szczegół swych zeznań: czas, w którym miał przybyć pod dom Wójcika. Z zeznań świadka Misia wynika bezspornie, że w dniu krytycznym o godz. 17.20 Wójcik był już w domu. Sąd I Instancji daje temu wiarę, lecz jednocześnie przechodzi do porządku dziennego nad czasem, straconym przy wynoszeniu zawiniątko na „teren Azja”. Te dwa sprzeczne dowody wzajemnie się wykluczają. Należałoby zatem przyjąć, że albo Miś kłamie — albo też mężczyzna ze stacji nie mógł być Stanisław Wójcik!

Dруга rewelacja

— Wbrew wnioskowi obrońcy. Sąd I Instancji dowolnie i bez dowodów ustalił, że karta „Gazety Pomorskiej” znalazła się przy nogach ofiary przypadkowo, już po odkryciu makabrycznej przesyłki. Nie zasięgnięto opinii prof. dr. Olbrycha. Jak wiadomo, koszyk zawierający pozabawione nogi i głowy zwłoki Gałuszkowej, wysłano do Wrocławia. Kadłub ofiary nigdy nie przebywał na terenie kolportażu „Gazety Pomorskiej”. Przy sekcji dokonywanej przez wrocławski Zakład Medycyny Sądowej, wyjęto z rany na udzie denatki wepchnięty tam zwitek drukowanego papieru. Koperta z tym dowodem dołączona została do akt sprawy, jednak Sąd I Instancji pominął go milczeniem. Tymczasem jest to — stwierdza przedstawicielka Prokuratury Generalnej — dolna część egzemplarza „Gazety Pomorskiej”!

Wielka niewiadoma

A zatem nie pomyliłam się pisząc przed rokiem na tych samych łamach

„Będzie to proces niezwykły... Przyzwyczajaliśmy trochę czytelnika w Polsce do obrazków z sali sądowej, na której wszystko pięknie i gładko się układa. Oskarżony od początku przyznaje się do winy, oskarżyciel od początku do końca ma rację”.

Nie zdezaktualizowało się także stwierdzenie, że w tej sprawie „nic nie jest jeszcze jasne ani proste”. Prawda o śmierci Marii Gałuszkowej nadal pozostaje wielką niewiadomą. Wyrok krakowski nie utrzymał się w mocy — ale też wyrok warszawski bynajmniej jeszcze nie przesądza niewinności Wójcika.

Co przyniesie wznowione śledztwo, ilu zagadek, ilu dalszych rewelacji można się spodziewać?... Na razie pewne jest tylko to, że proces Stanisława Wójcika przejdzie do historii polskiego sądownictwa, zajmując jedną z pierwszych pozycji na jej dotychczasowych kartach.

ANNA STRONSKA

ZONY SIĘ UCZA

Zony dyplomatów amerykańskich pobierają lekcje dobrego wychowania, urządzania przyjęć, podawania różnych napojów itd.

SAMOCHOODY TANSZE

Według obliczeń fachowców przewozy kolejowe są dla naszej gospodarki dwukrotnie droższe niż samochodowe.

ZIMNA

NIEBEZPIECZNA

Zimna woda jest bardzo niebezpieczną dla osób próbujących pływać na początku i przy końcu letniego sezonu. Zanieczyszczenie się w zimnej wodzie to szok dla organizmu. Nieprawda, że kąpiel w zimnej wodzie działa pobudzająco. Przeciwnie — wyczerpuje. Pływak szybko traci energię i czuje zmęczenie. A oto kilka zaleceń dyrektora amerykańskiego Czerwonego Krzyża dr Cantwella: pływaj zawsze z drugą osobą, nigdy samotnie, pływaj w znanych ci wodach, nigdy nie należy pływać bezpośrednio po jedzeniu. Nigdy nie pływaj, gdy się jest przegrzany lub zmęczonym.

NAWIGACJA BEZ RADARU I GWIAZD

Nowy system orientowania się i nawigacji na morzach polega na obliczaniu kąta odchylenia igły magnetycznej. Na tej zasadzie został zbudowany aparat, który umożliwia świetną orientację nawigatorom bez oglądania się na gwiazdy i bez radia, czy radaru.



POŻARY W USA

Pioruny powodują rokrocznie około 7 i pół tysiąca pożarów leśnych w USA.

REWELACYJNA SZCZEPIONKA

W Związku Radzieckim produkują sę, na razie próbnie, cukierki zawierające żywe wirusy choroby Heinego-Medina. Spożywanie tych cukierków działa lepiej niż wszystkie szczeniaki przeciwko tej chorobie: wytwarza przeciwciała zwalczające chorobę. Cukierki są doskonałe. O tym osiągnięciu nauki radzieckiej opowiadała szeroko uczony amerykański prof. Sabin, po powrocie z wizyty w ZSRR.

UWAGA, UWAGA

Podajemy adresy znanych gwiazd i gwiazdorów zagranicznych. To na pewno zainteresuje wielu kinomanów. Na razie pierwsza seria adresów: Peter van Eyck, urodzony w roku 1913 na Pomorzu, wzrost 1 metr 83 cm. Adres: 38 Rue des Saintes Peres Paris. Toni Sailer — Kitzbuehel, Tirol, Bichlstrasse 10. Oesterreich, Robert Hosenstein, mąż Marjiny Vlady. Urodzony 1907 roku mieszka: 10 Rue Marivaux, Meisson Lafitte S.E.O. Sophie Loren — tymczasowy adres: Wien — Film, Rosenhugel, Wien-Mauer.

W KTÓRYM MIEJSCU WYLĄDOWAŁ ŁUNNIK?

Podczas pełni księżyc przypomina uśmiechniętą, względnie grymasną twarz człowieka. Miejsce spadku rakiety znajduje się prawdopodobnie między lewym okiem a nasadą nosa. Miejsce to zapewne zostanie odkryte i sfotografowane przy dogodnej fazie księżyca.

Na zakończenie warto dodać, że Łunnik II jest w pierwszym rzędzie wielkim sukcesem technicznym i naukowym uczonych radzieckich, którzy dokonali dalszego milowego kroku w dziedzinie astronautyki.

rozmawiał

MIKOŁAJ KUPLOWSKI

PERSPEKTYWY

Człowiek znajdzie się wcześniej na księżycu niż na satelity koczującym dookoła ziemi. Wypływa to z fa-

STANISŁAW BIEL POLSKA WYPRAWA W ALPY POLACY SZTURMUJĄ MATTERHORN

Solvay Hütte. To schron biwakowe, przylepiony do północno-wschodniej grani Matterhornu na wysokości 4000 m. Ta drewniana buda przyczepiła tuż pod kolejnym uskokiem. Zjeżdżamy na linie wprost na jej dach. Nie my pierwsi.

Wtorek — 28 kwietnia.

Sypie. Przez dzisiejszą noc napadało chyba z pół metra śniegu. Geśta mgła zamyka widoczność do kilku najbliższych kroków. Zejście w tak parszywych warunkach stało się nie lada problemem. Kocioł pod wschodnią ścianą stał się bardzo niebezpieczny. Już od godziny brniemy poprzez niego, zapadając się po pas w śniegu.

Wtem tąpnęło charakterystycznie. Pod stopami pojawiła się szczylna. Pęknięcie poszerzało się, biegnęło dalej w poprzek stoku. Serca uderzyły gwałtownie...

Lawina!!!

Janek jednym susem znalazł się z powrotem na zbawczej wysepce. Przywarliśmy do kamieni. Na szczęście stok nie ruszył. Zbyszek wyprostował się, miał twarz bladą, jak śnieg w koło nas. Spod wiatrówek wyglądały kosmyki spojonych lodem włosów.

Położenie nasze było ciężkie. Płatforemka skalna, na której staliśmy, nie miała więcej, jak cztery metry kwadratowe powierzchni. W koło śnieg i śnieg. Od najbliższych skałek dzieliło nas 100 metrów.

Jak się tam dostać? Świeże pęknięcie przestrzegalo: Uwaga, równowaga mas śniegu jest mocno napięta. Jak się stąd wydesta?

Głowa pęka od nawału myśli, nie potrzebnych, nic nie dających. Nie wolno czekać. Stać bezproduktywnie.

— Idę. Asekurujcie... Podałem linę Rubinowskiemu. Związany pojedynczą zjazdówką zacząłem się obniżać. Dwa kroki po skale i śnieg. Ostrożnie stawiam pierwszy krok. Wpadam po pas. Nerwy napięte są do granic wytrzymałości. Każdy krok może być początkiem lawiny. Ten nie... no to ten... także nie. Obniżam się dokładnie w przedłużeniu wysepki, z której asekurują koleczy. Lina łącząca mnie z nimi wydłuża się coraz bardziej.

Już dwadzieścia metrów. Czuję, jak pot spływa mi z czoła. Śnieg coraz głębszy. Wyciągając nogi, pomagam sobie rękami. Podciągam je. Pięćdziesiąt metrów. Zbyszek z Jankiem zniknęli już w mgłę. Jestem sam... sam.

Stąpam ostrożnie. Staram się obciążać śnieg etapami — stopniowo, delikatnie. Jak bestię śpiącą, której nie wolno zbudzić, lub przyjaciela, od którego zależy wiele.

Z każdym metrem ubywa mi sił. Jestem bardziej kretem, niż człowiekiem. Za mną zostaje tunel zasypywany natychmiast. Na szczęście pas skał zbliżał się wybitnie. Jeszcze tylko piętnaście metrów. Śnieg jest coraz płytszy. Tuż obok załamania błyska lód. Można iść szybciej. Sądzą dużymi susami. Za chwilę byłem przy skałkach. Wbijam dwa haki. Przypętłam się. — Napięcie ostatnich godzin ustępuje z wolna. Pod nogami znów względnie stały grunt, jeszcze wyciąg liny po uskoku i lodowiec. Stanowisko mam w miejscu, w którym cztery dni temu osiągnęliśmy kocioł.

Humory poprawiły się. Za sobą mieliśmy ten nieprzyjemny, wyjeżdżający kocioł. U naszych stóp zaczęła się niecka lodowca. Była olbrzymia... będą na niej spore trudności orientacyjne. Przeklęta mgła okryła czapką niewidką całe góry. Będzie ciężko. Ale to nie ważne. Tam nic już nam nie wyjedzie na łeb. Jeszcze dwieście metrów i uciekniemy z krainy władcy Becci.

— Przypinamy deski tutaj. Ot tam zrobimy pierwszy zakos. Tam drugi, potem pojedziemy już prosto w dół.

Wtem do uszu wdarł się jakiś nowy dźwięk. Szum zbliżającej się fali, łomot skrzydeł stada ptaków. Na kraju uskoku... trochę z lewa ukazała się biała chmura. Jeszcze nie skończyła myśli: wyjechał kocioł, a byłam już przy haku. Przywarłem do skały ciałem. Zasłoniłem głowę... nie, to niepotrzebne. Mam hełm — śnieg jest świeży... Może dusić, zbliżyłem głowę do ust i nosa... Na ciele czułem już niemal nacisk śnieżnego wodospadu... spadającego na plecy. Zrobiło się szaro... ale uderzenie nie przychodziło. Przeskoczyło nas. Gdy zapanowała już cisza, oglądaliśmy się. Podałem mój pierwszy krok. Tuż za mną rozpoczął się lewy kraj lawiniska. W mgłę nie widziałem jego rozmiarów.

— Myślałem, że to koniec — Zbyszek był pod skałką, tą samą, co ja, tylko bardziej w prawo. Ogarnęło mnie zdumienie. Przesadził jednym susem chyba z cztery metry.

— Zbyszek pobił rekord świata w skoku w dal z miejsca — zwróciłem się do Rubinowskiego.

— A z ciebie piórko, jak dmuchnęło, to myślałem, że skałę rozbijesz.

— A ty co? Wgrzyzałeś się w nią zębami i pazurami. Janek rozglądał się nerwowo. Nie włączał się, wreszcie powiedział:

— Cholera, gdzie mój plecak?... Okazało się, że lawina porwała plecak Janka. Znaleźliśmy go szybko.

Koniec



Człowiek jaskiniowy

Pod kierunkiem uczonego francuskiego profesora Leroi-Gourhana kręci się

obecnie we Francji i pracy naszych praprzodków. Przy mentalny o człowieku kręceniu naukowcy jaskiniowym, czło- posługują się oryginalnymi narzędziami. Oto „człowiek neandertalski” z bronią.



Zwycięzca Kanału

20-letni Argentyńczyk Alfredo Camarero wygrał 500 funtów szterlingów (około 1400 dolarów) za

zwycięstwo w zawodach o przepłynięcie Kanału la Manche. Czas osiągnięty przez Camarera — 11 godzin 48 minut. Start odbył się z przylądka Gris Nez w warunkach prawie że sztormowych. Brało w nim udział 15 zawodników.

U PROGU WIELKIEJ PRZYGODY

Czytelnicy „Zdarzeń” wiedzą zapewne o wielkiej wyprawie, która pod protektorem i pod flagą Polskiego Komitetu Olimpijskiego wyruszy w roku przyszłym na trzydziestoletni rejs dookoła świata.

Rejs „Polonii” to jedna z form uczczenia 1000-lecia Państwa Polskiego i ma na celu nawiązanie kontaktów z Polonią zagraniczną, propagandę Polski i jej zagadnień, zbieranie materiałów przyrodniczych, etnograficznych, filmowych itp. do badań naukowych dla Instytutów Zoologii i Oceanografii PAN. Na wyprawę tę został wybudowany specjalny jacht, zaprojektowany przez polskich konstruktorów, w polskich warsztatach szkutniczych w Szczecinie. Cała impreza zorganizowana jest przez PFTK, przy czym do sfinansowania jej przyczynia się wiele instytucji, urzędów i zakładów, ułatwiających zdobycie poszczególnych materiałów, produktów lub wprost udzielając subwencji.

Zwazwyczaj na wagę całej imprezy oraz ze względu na prototypowy charakter jachtu, przed właściwą wyprawą, dla sprawdzenia jakości sprzętu i umiejętności załogi przeprowadza się w roku bieżącym pływania próbne.

Od jednego z członków załogi a wielkiego przyjaciela „Zdarzeń” otrzymała ostatnio Redakcja opis pierwszego próbnego rejsu.

Kochana Redakcjo! Oto wreszcie 2 sierpnia, na przystani żeglarskiej LPZ w Szczecinie odbyło się uroczyste podniesienie bandery na naszym jachcie. Posyłam Wam fotografię, byście zobaczyli, jak pięknie wygląda s/y „Polonia”. W tej chwili należy do największych jachtów w kraju (100 m. kw. żagli). Rejs nasz będzie pierwszą tego typu wyprawą po wojnie a w ogóle dopiero drugą w historii żeglarstwa polskiego.

Wspaniale wybudowany i doskonale wyposażony jest nasz jacht. Będzie na pewno doskonałą pływającą reklamą naszego szkutnictwa i naszych możliwości w tej dziedzinie.

Parę dni temu wróciliśmy z pierwszego rejsu próbnego. Krótkie to, bo zaledwie parotygodniowe pływanie odbyło się po wodach Bałtyku, Sundu i Kattegatu, bez zachodzenia do obcych portów. Dopiero w następnym pływaniu, które zaplanowane jest na drugą połowę września i października, mamy odwiedzić niektóre porty duńskie, norweskie, angielskie i francuskie.

W tym roku w rejsach próbnych bierze udział załoga 10-osobowa. W czasie pierwszego rejsu jedenastym członkiem załogi był generał Jan Frey-Bielecki, który spędził z nami swój urlop, dzieląc wszystkie trudy, niewygody, i obowiązki załogi, pracując na równi ze wszystkimi.

Musimy uczciwie przyznać, że świetne zaprowiantowanie jachtu zawdzięczamy ZS „SPOLEM”. Była to forma subwencji „SPOLEM” w produktach spożywczych dla wyprawy s/y „POLONII”. Dodatkowo

przyczyniło się do tego Zjednoczenie Koncentratów Spożywczych, przesyłając nam znaczne ilości najróżniejszych gatunków swoich produktów. Będziemy badać ich odporność na warunki morskie i określać ich przydatność dla zaopatrzenia przyszłorocznej właściwej wyprawy.

Dużo wrażeń i wzruszeń mieliśmy w czasie naszego pierwszego pływania. Trzeba przyznać, że z punktu widzenia turystycznego, geograficznego, podróżniczego no i oczywiście żeglarskiego, takie pływanie, nawet bez zachodzenia do portów — daje bardzo dużo, szczególnie tym, którzy tą trasą płynęli po raz pierwszy.

Zdarzyło się raz także, że na pokład, gdy byliśmy na środku Kattegat, gdy na horyzoncie znikła wyspa Anholt, zawiał na pokład niespodziewany gość: na rufie, na zwojach lin przysiadł pocztowy gołąb z niebieską obrączką na nóżce. Widać bardzo zmęczony, bo długo siedział bez ruchu. Po długim dopiero czasie skorzystał z podstawionych mu misek, napił się słodkiej wody, zjadł trochę cukru i kaszy i poleciał dalej.

Mieliśmy w czasie tego rejsu i sztormów trochę, była i ładna pogoda. W sumie jednak założenia tego pływania zostały zrealizowane i nie długo, za parę dni wybieramy się już w drugi rejs, z którego również prześlę wiadomości. Dziś kończę przesyłając pozdrowienia całej Redakcji i Czytelnikom „ZDARZEN”

BANDYCI-DZENTELMENI

Na przestrzeni od września 1957 roku do lutego 1958 roku zanotowano w Warszawie pięć napadów rabunkowych z bronią w ręku na mieszkania profesorów wyższych uczelni, oraz innych osób. Metoda dokonywanych napadów wskazywała na to, że rabunki są dziełem jednej i tej samej bandy. Wszczęte śledztwo nie dało wyniku pozytywnego. Bandytów nie wykryto, sprawę umorzono...

Kotecki tworzy bandę, do której wciąga Tad. Swiderskiego, 48-letniego Stanisława Żwan (5 klas szkoły podstawowej) z zawodu hydraulika, 37-letniego robotnika Eugeniusza Szutkowskiego (2 klasy szk. podst.) oraz swego znajomego Ryszarda Fedorowicza, który pożyczyc pieniądze na zakup broni i proponuje pierwszy rabunek, wskazując dom Malinowskich, swoich... krewnych. Fedorowicz aresztowany wkrótce w celu odbycia zaległej kary sądowej, nie bierze udziału w dalszych rabunkach.

SKOK NA PROFESORÓW

Kotecki, pracując jako laborant w Instytucie Gruźliczym, był dostatecznie zorientowany w środowisku lekarskim. Proponuje napad na prof. dr Juliusza Brilla, kierownika Katedry Mikrobiologii SGGW, zamieszkałego na Jelonkach. Stwierdziwszy, że prof. Brill wraz z małżonką wyjechał do Łodzi, zarządził napad na dzień 25 października 1957 roku. Swiderski, Żwan i Szutkowski (Kotecki został na dole) podając się za pracowników elektrociepłowni, weszli do mieszkania. Pomoc domową — Franciszkę Stańczyk związała bandażami i zamknęli w łazience. 81-letnią matkę profesora, Ernestynę Brill, potraktowali łagodnie. Zezwolili jej na siedzenie przy stole, przy czym jeden ze sprawców bawił panią Ernestynę rozmową, gwarantując całkowite bezpieczeństwo.

— Sama pani rozumie, jesteśmy bandytami. Taki nasz fach, ale ciuchów żadnych nie zabieramy. Proszę się nie bać, włos z głowy pani nie spadnie.

Pod koniec jednak związane starszce nogi i ręce wyrwanym sznurom telefonicznym, a usta zakneblowano krawatami profesora. Uczyniono to — jak sama zeznała — nie brutalnie, w sposób humanitarny i raczej prowizorycznie.

Wartość zrabowanego mienia wyniosła ponad 130 tysięcy złotych. Ale apetyt rośnie w miarę jedzenia...

KURTUAZJA WOBEC DAM

Dalszy napad Kotecki uzależnił od nabycia trzeciego pistoletu, który wkrótce dostarczył Wancierz za kwotę 2 tysięcy złotych.

W dniu 21 stycznia w godzinach przedpołudniowych, „pracownicy elektrociepłowni” terroryzują przebywającego z powodu choroby w łóżku profesora SGGW Bolesława Kuryłowicza. Jego żonie polecono również położyć się do łóżka i przykryć się z głową. Kiedy niewiasta zaoponowała z uwagi na chore serce, bandyci nie nalegali więcej. „Poproszono” o zdjęcie obrączek ślubnych i sygnetów z rąk, zabrano dwa zegarki i sztuczną biżuterię, po czym wprowadzono małżonków do łazienki gdzie znajdowała się już „zabandażowana” służąca. Na życzenie pani domu, podano jej krzesło, szlafrok, a nawet wodę z lekarstwem.

— Do widzenia państwu, a gdzie położyć klucz, żeby nie przyszli prawdziwi bandyci? — zęgnali się pełni kurtuazji napastnicy, dając krótkie, lecz wyczerpujące wskazówki.

— Na milicję wolno państwu dzwonić po upływie godziny, ale nie radzimy.

Zrabowane przedmioty stanowiły wartość około 10 tys. złotych.

BANDYTA — TEŻ CZŁOWIEK, TEŻ ZAPOMINA...

27 lutego 1958 Kotecki, Swiderski, Żwan i Szutkowski spotykają się na ul. Filtrowej, w pobliżu gmachu WRN. Kotecki wręcza Swiderskiemu i Szutkowskiemu pistolety i adres profesora AM dr Tadeusza Bułskiego. Dwa krótkie dzwonki poderwały syna profesora, Wojciecha — „tata wraca”. Pracownicy „elektrociepłowni” zbadali dokładnie rozkład mieszkania, ilość obecnych domowników, przeliczyli z chłopcem kaloryfery i „zabandażowali” z kolei służącą i córkę profesora, a Wojciechowi polecono, by... pilnował psa. Opuścili mieszkanie z bogatym łupem na ogólną wartość ponad pół miliona złotych.

Nie o to jednak chodziło Koteckiemu... Przed napadem poinformował Szutkowskiego, że w mieszkaniu profesora znajduje się w podłodze skrytka, zawierająca 3,5 mln dolarów.

Niestety, oszołomiony tak bogatym łupem Szutkowski, zapomniał o odnalezieniu skrytki z milionami i zbadaniu jej zawartości.

ROZPOCZYNAMY ŻYCIE OD NOWA...

Po dokonaniu wymienionych napadów, Kotecki, Swiderski i Żwan, w maju 1958 roku topią broń w Wiśle pod mostem Poniatowskiego i przyrzekają sobie, że nie wrócą nigdy do tej „roboty”. Kotecki kupuje samochód, Swiderski do spółki z Szutkowskim kupują w Lubielu pow. Pultusk warsztat mechaniczny.

17 lipca 1958 zostaje aresztowany Kotecki i Żwan, 26 lipca — Tadeusz Swiderski, a 16 sierpnia — Eugeniusz Szutkowski.

JAN MIK

zdarzenia str. 5

NA TROPIE HANDLARZY ZYWYM TOWAREM

Czas: koniec lipca 1959.

Miejsce: Włochy. Rzymskie lotnisko Ciampino.

Na lotnisku zjawiła się z dwojgiem małych dzieci tęga, uboga odziana kobieta z Poggiomario. Bardzo wylewnie i z wielkim szacunkiem powitał ją wytwornie ubrany pan, który przedstawił się jako adwokat Giambaldo z Brooklynu. Chwilę porozmawiali, po czym mężczyzna oddał się z dziećmi.

Kobieta otarła pięścią oczy i melancholijnie patrzyła przed siebie. Mężczyzna skierował swoje kroki w kierunku wielkiego transoceanicznego samolotu odlatującego do Ameryki. Kobieta z Poggioma w milczeniu śledziła oddalające się sylwetki dzieci. W samolocie zawarczały motory. W tym momencie nerwy jej nie wytrzymały. Rzuciła się biegiem w kierunku eleganckiego adwokata. Poprosiła go o pomoc. „Nie oddam moich dzieci!” — i rozpoczęła ucieczkę przez pola wokół lotniska.

Ile kosztuje dziecko

Następnego dnia całe Włochy znały historię Filomeny Guastafierro. Jak opowiedziała reporterom — ta matka sześciorga dzieci — przez szereg dni jej niedźną lepiankę odwiedzała pewna dama. W czasie których odwiedzin proponowała jej, aby oddała dwoje dzieci, choć je bowiem zaadoptować pewni bardzo zamożni Amerykanie. Adwokat Giambaldo z Brooklynu, pełnomocnik małżeństwa, które chciało zaadoptować dzieci Guastafierro, przysłał jej sumę 150.000 lirów.

W pierwszym odruchu oburzenia Filomena postanowiła natychmiast zwrócić te pieniądze. Potem jednak pomyślała o przyszłości, dzieci, o tym, że są stale głodne, niedożywione. Pod wpływem tych myśli podpisała podsuniętą jej umowę. Na lotnisku jednak zobaczyła, że tenor Giambaldo zabiera ze sobą do Ameryki nie tylko jej dzieci. Było ich więcej. Wtedy pełne niepokoju matczyne serce nie wytrzymało. W ostatniej chwili odbrała swoje maleństwa i uciekła. Filomena Guastafierro jest wdową. Mieszka razem z bratem swego męża. Ledwie wystarcza im na życie. Powiedziała jednak: „Gdzie sześcioro się pożywi, tam pożywi się również ośmioro, a gdzie sześcioro głoduje, może głodować także ośmioro”.

5 tysięcy sprzedanych

Cała ta historia stała się głośna i wywołała wielkie oburzenie społeczeństwa, wielu działaczy politycznych i prasy. Deputowani do parlamentu zwrócili się z oficjalnym pytaniem do podsekretariatu stanu dla spraw emigracji z pytaniem, czy prawdą jest, że w ciągu ostatnich lat sprzedano do Ameryki ponad pięć tysięcy dzieci. Odpowiedź była twierdząca. Zarządzono wówczas powołanie specjalnej parlamentarnej komisji do zbadań tej sprawy a w szczególności działalności organizacji, zajmującej się pośrednictwem w adoptowaniu dzieci — w istocie handlem dziećmi w Neapolu.

Wkrótce doszło do niezwykle zajęcia w Neapolu. Na pokład statku, który odpłynął miał do Ameryki, w ostatniej chwili wkroczyła policja. Okazało się, że na statku znajdowało się 96 włoskich dzieci, które odpłynąć miały do nowej ojczyzny. Stwierdzono,

że handlem dziećmi zajmowały się aż cztery wielkie organizacje, które pośredniczyły w transakcjach adoptowania i robiły na tym wspaniałe interesy. Początkowo przedstawiciele tych organizacji poszukiwali dzieci w sierocińcach i ochronkach. Potem jednak źródła te okazały się niewystarczające. Pukano więc do drzwi ubogich rodziców, znajdujących się w krytycznym położeniu i za parę, dosłownie parę dolarów kupowano dzieci. Pośrednicy sprzedawali je potem po dziesięciokrotnie wyższej cenie w Ameryce.

Omawiając całą tę aferę, prasa nie oskarża rodziców, którzy zmuszani byli do swoich czynów tragiczną sytuacją materialną. Cała odpowiedzialność za ten stan spada na państwo. Wspomniany dziennik „Messaggero” pisze: „Nigdy nie powinno być takich dni, jakie przeżyła Filomena Guastafierro, kiedy nie miała co dać dzieciom jeść, a do drzwi jej mieszkanki pukali handlarze, ofiarując kilka dolarów za dzieci”.

Afera grecka

Sprawa nie ogranicza się do Włoch. W tym samym czasie i w greckim mieście Patras toczył się przed sądem proces, którego tło było identyczne. Szło o wywożenie do Stanów Zjednoczonych zaadoptowanych dzieci greckich. Grecka afery stała się tym bardziej sensacyjna, ponieważ brał w niej udział Grecki Urząd Opieki Społecznej. Po prostu zarabiał na handlu dziećmi. Zarabiał w charakterze pośrednika, ściągając haracz pieniędzy od rodziców, którzy pozbywają się dzieci i od zagranicznych małżeństw, które je adoptują.

Greckie ministerstwo sprawiedliwości wszczęło w tej sprawie dochodzenia.

Skąd te całe niesamowite, ohydne spekulacje? Otóż w Stanach Zjednoczonych istnieje kolosalne zapotrzebowanie na dzieci. Jak na towar. Setki tysięcy małżeństw bezdzietnych pragnie adoptować dzieci. Między Kanadą a USA istnieje coś w rodzaju „czarnego rynku dzieci”. Zapotrzebowanie na dzieci adoptacyjne sięga rocznie zawrotnej sumy 1 miliona. W kraju jednak ilość dzieci, które są do odstąpienia, wynosi zaledwie 75 tysięcy. Stąd też małżeństwa bezdzietne, które chcą mieć dziecko, płacą za nie wielkie sumy. Wykorzystując tę sytuację, różni pośrednicy zaczęli na tym robić świetny interes. Powstały specjalne przedsiębiorstwa tylko tym się trudniące. Głównymi rezerwuarami dzieci na handel stały się Włochy, Grecja, Hiszpania. Jednakże proceder handlu żywym towarem nie ogranicza się do tych państw. Uprawiany jest również w innych krajach Europy zachodniej. Zachodniemiecki tygodnik „Der Spiegel” podaje np. że w NRF w 1957 roku zostało adoptowane 10.000 dzieci, w tym 3.000 przez obcokrajowców, w większości Amerykanów.

Ostatnio jednak cała sprawa zrobiła się tak głośna, że wkroczyła na scenę międzynarodowa policja, aby położyć kres temu procederowi. Akcja międzynarodowej policji wymierzona jest nie przeciw adoptowaniu dzieci w ogóle (adoptacja jest aktem prawnym, jak najbardziej legalnym), lecz przeciw organizacji agentów — pośredników, które traktują handel dziećmi na równi z handlem jakimkolwiek innym towarem i zarabiają na nim krocie.

KOLOR I CHARAKTER

Bracia Powe właściciele znanego w Londynie domu towarowego, twierdzą na podstawie długoletnich obserwacji, że dobór koloru i wzoru krawata zdradza charakter klienta. Małe, wąskie wiązanie krawata świadczy mą o zamilowaniu do porządku i systematyczności, duży węzeł — mówi o chwicznym charakterze. Jasny kolor krawata oznacza... kobieciarza. Skąpiec woli krawaty z jedwabiu drukowanego, tchórz — brokatowe w drobny deseń. Na najgorsze podobno musi być przygotowana kobieta spotykając się z mężczyzną w pstrym, kolorowym krawacie.



CHUSTECZKA BB

Jedyny strój BB z jej pierwszych filmów — mała chusteczka do przepasywania bioder została sprzedana na licytacji zbierawczy rekwizytów filmowych za grube pieniądze.

DIETRICH NA POWAŻNIE

Zamiast szlagierów Marlena Dietrich śpiewać będzie podczas tournée po Niemczech zachodnich... pieśni Schuberta.

OGRODNICY DO PARYŻA

Ostatnio wyjechało do Paryża czterech polskich ogrodników. Będą odbywać płatne praktyki w ogrodach Wersalu. Bardzo słusznie ogrodnicy także są ludźmi spragnionymi paryskich przyjemności.



A TO UBAW!

Po blisko 20 minutach oczekiwania nadjeżdża wreszcie „szóstka”. Kilkanaście minut jazdy i jesteś już w słynnym „Wesołym miasteczku”. Otwarte kilka dni temu na terenie Parku Kultury i Wypoczynku w Katowicach budzi zrozumiałą sensację.

Rozległość miasteczka i różnorodność urządzeń rozrywkowych oszałamia. Wchodzisz jak do jakiegoś zaczarowanego królestwa. Piękne aleje prowadzą cię do jednej atrakcji po drugiej. Na 30 ha terenie znajduje się bowiem aż 39 najrozmaitszych urządzeń. I to zarówno takich dla kilkuletnich bobasów (małe huśtawki, samochodziki, samoloty, łódki na miniaturowym stawie, trawa), jak i dla starszych i tych... najstarszych. Wśród młodzieży największym powodzeniem cieszą się — 2-osobowe autka z silnikami spalnowymi i elektrycznymi. Te pierwsze przypominają najbardziej rasowe wozy sportowe, z tą różnicą, że są o połowę mniejsze, no i naturalnie słabsze (silnik motocyklowy). Jeździ się po specjalnym betonowym torze, powykrecanym w najrozmaitsze „ósemki”.

„No dobrze, ale co tutaj robi ten starszy pan? Wsadził (oprócz siebie) żonę i duże dziecko, a zapomina, że obciążenie obliczone jest na dwóch kilkunastoletnich chłopców. Nic dziwnego, że silnik wyraźnie „męczy się”. Zostawmy go spokojnie; może w ten sposób zaspakaja marzenie o własnym pojeździe.

Jesteśmy w tzw. skoterni, gdzie w specjalnej hali znajduje się kilkadziesiąt samochodów elektrycznych, działających na zasadzie trolejbusu. Kierowca musi tylko nacisnąć przez cały czas nogą specjalny przycisk i... omijać przeszkody na drodze. A ponieważ nie ma tu rygorystycznego przestrzegania ruchu prawostronnego, co chwilę dochodzi do zderzeń. Wywołuje to oczywiście salwy śmiechu. Czasami w jednym miejscu „skłębili” się kilkanaście aut. Budowniczość pomyśleli i o tym, że pojazdy te nie będą prowadzone przez kierowców z I kategorii, dlatego też boki aut wyłożyli grubą warstwą gumy.

Przejdźmy do najbardziej pomyślowych urządzeń. Do takich zaliczyć trzeba bez wątpienia tzw. pajak. To już jest zabawa dla dużo, dużo starszych. Od specjalnej podstawy w kształcie kuli wybiegają 10-metrowe ramiona, na końcu których zamocowane są małe, dwuosobowe łódki. Chcesz przejechać się? Proszę bardzo. Za jedyne 2 złote kupujesz bilet (nota bene w bardzo oryginal-

nych budkach, wykonanych przez je-dną z krakowskich spółdzielni) i... tylko jak tu wsiąść, kiedy ta cała piekielna maszyna nie ma zamiaru obniżyć się do ziemi. Ale uwaga, bo oto pomost, na którym stoisz, wysuwa się na specjalnych szynach, podjeżdża do łódki, sympatyczna młoda osoba, pomaga Ci wsiąść, sprawdza bardzo dokładnie, czy należycie przywiązujesz się pasami i gotowy jesteś do jazdy. I oto diabeł ożył. Rusza „z kopyta”, niczym parowóz elektryczny. Wali z góry „na łeb, na szyję” by za chwilę wywindować Cię wysoko w górę. Mało tego. Zwalnia, hamuje nagle (żółdek podchodzi wtedy gdzieś w górę), by za moment znów pędzić naprzód. Ale to jeszcze nie koniec. Na dodatek wszystkiego Twoja łódka zaczyna się kręcić dookoła własnej osi. Ufff... Całe szczęście, że się to już skończyło.

Przykładowo podaliśmy tylko kilka „cudów”, ale ich jest cała masa, najrozmaitszych karuzel, rakiety, grzybów, dmuchaw, czołgów, rzutni, rowerów, gwiazd itp. Dla dorosłych nawet specjalna ruletka. Zmęczyłeś się już? Nic dziwnego. By obejść tylko wszystkie te „cuda” i zatrzymać się przy każdym na 5 minut, potrzeba aż 4 godzin czasu. Może jesteś głodny? Nic prostszego, jak posilić się porcją gorącej kiełbasy, którą możesz dostać w jednym z kilkunastu ruchomych barów. Możesz usiąść w kawiarni, możesz potańczyć na na parkiecie przy dobrej(!) tanecznej muzyce, możesz posłuchać jazzu. A jeśli pragniesz rzeczywiście spokoju, to radzimy skorzystać z kilkunastominutowej przejażdżki tramwajem wodnym po pięknym stawie.

Trzeba przyznać, że budowniczo-wie osiągnęli już swój cel. Budowane ze składek społecznych „Wesołe miasteczko” spełnia znakomicie swą rolę. Jest prawdziwym rajem dla dzieci od lat 3 do... osiemdziesięciu. A to przecież jeszcze nie koniec.

Całkowite zakończenie prac przewiduje się dopiero w r. 1963. Zapytacie, jakie dojdą nowe atrakcje? Będzie więc kolejka linowa, która połączy miasteczko z pozostałą częścią parku, będzie zaczerpnięty zamek, będzie zjazd saneczkowy, będą samoloty, które zawieszono na linach na wysokości, bo aż 30-metrowej wieży (jest już gotowa) osiągną prędkość ponad 100 km/godz. To będzie dopiero jazda. Będą poza tym... dość, dość już tego.

Żeby tak kiedyś w Krakowie...

Tekst i zdjęcie
WIESŁAW KSIĄŻEK

listy waganta

Panie Adamie!

Piszę ten list piórem nużanym w goryczy i pasji. Przed kilku tygodniami alarmowałem na tym miejscu o stanie zagrożenia, w jakim znalazł się sławny zamek malborski. Ten niepowtarzalny zabytek historyczny powierzony nienajlepszym gospodarzom, oddany w pacht przygodnym wycieczkowiczom i turystom, narażał co chwila całość swych świętych murów i wnętrz, i odwrotnie, nieustannie groził niezorganizowanym przybywcom perspektywą wypadku. Stało się. Oto depesze prasowe doniosły, o groźnym pożarze tego obiektu. Spłonęły zabudowania wokół dziedzińca średniego, kondygnacje zajmowane przez PTTK i inne partie zamku. Straty sięgają z pewnością milionów złotych, jeśli władze administracyjne nieskoro zwykłe do świadczeń, przekazały z miejsca milion złotych na najpilniejsze adaptacje. Cóż z tego...

Tak to, Panie Adamie, popularne przysłowie o Polaku mądrym po szkodzić jeszcze raz bliższy prawdą życiową. Znamy, znamy to świetnie z własnych doświadczeń. Nie o tym jednak chciałem dziś mówić, mimo że we wspomnianym liście, jak Pan pamięta, zachęcałem kolegów-reporterów z prasy krakowskiej do zainteresowania się Malborkiem. Temat był nie tylko reportersko frapujący, lecz także, jak to się mówi, społecznie niezwykle pożyteczny. Smutne fakty zaświadczyły zresztą za tym... Pragnę jednak dziś pod-

nieść, z powodu tej smutnej okazji, sprawę skutecznej krytyki prasowej.

Był czas, nie tak zresztą odległy, kiedy dziennikarzom imputowano brak temperamentu i krytycznego angażowania się w poruszane przez nich tematy. Mieściło się w tym wiele prawdy. Pisaliśmy jednak wiele tak na łamach pism zawodowych jak i w prasie o źródłach tego impasu. Wskazywaliśmy na różne kontrowersje środowiskowe (np. dziennikarze — prawnicy), niechęć niektórych organów administracyjnych do prasy, nieskuteczność krytyki prasowej i tak dalej. Wydaje się, że bardzo wiele z tych przeszkód z pożytkiem obalono. Nadal jednak musi doprowadzać do pasji mur obojętności okazywanej powszechnie wobec krytyki wykładanej w dziesiątkach reportaży, felietonów, artykułów i notatek.

Nasz przykład Panie Adamie, jakże dowodnie potwierdza te pretensje. Nie podbijemy sobie, tuszę, zbyt bębena, jeśli powiem, że „Zdarzenia” są poczytnym tygodnikiem. Niech zresztą broni nas przykład — 90 tysięcy i to w dodatku na takim lichym papierze, to już jest coś. Mało tego, „Zdarzenia”, jak mi jest wiadomo, są kolportowane w stolicy i wielu województwach Polskiej. Niestety, niestety nikt nie raczył zwrócić się do redakcji, nikt z tak zwanych kompetentnych czynników nie nadesłał kilku słów pokwitowania na wszczęty przez nas alarm, i nikt ostatecznie nie zadbał o porządek w Malborku. Rezultat tej obojętności jest znany.

Co nam, dziennikarzom. Panie A-

danie, pozostaje w takim wypadku? Satisfakcja? Nie daj Boże, doświadczać jej często w takim zabarwieniu emocjonalnym!

Ze zjawiskiem psychologicznym, zwanym właśnie „satisfakcją”, trzeba zresztą być zawsze ostrożnym. Nic bardziej względnego jak ono; jest zresztą na ten temat morze dowcipów i przypowieści. Niech Pan będzie spokojny, nie zacytuj... Otóż wątpliwe bardzo, czy np. są usatisfakcjonowani kinomani, którzy najpierw wiele pochlebstw przeczytali pod adresem filmu „Pociąg” a potem obraz ten zobaczyli. Leciąłem i ja, jak głupi, do kina zafrapowany huczkami, jaki podobno „Pociąg” wywołał na festiwalu w Wenecji. Widać za granicą nadal jesteśmy modni i mamy sporo układnych przyjaciół wśród krytyków filmowych.

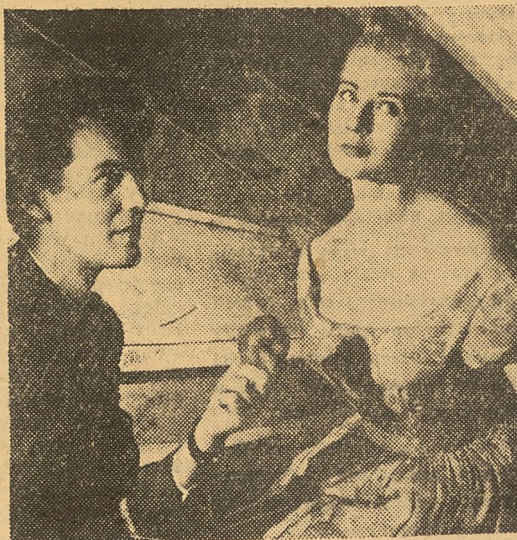
Powiem Panu, że oceniam ten film, jako kliniczny objaw snobizmu. Snobizmu na estetyzowanie, psychologizowanie, smaczki poetyckie, nastrój, głębie, filozofie, poczucie smaku, szkołę włoską i francuską. Reżyser demonstruje tak olbrzymie poczucie smaku, że aż to wszystko razem jest trochę niesmaczne. Szkoda dobrego tematu!

I cóż mi za satisfakcja, że „Pociąg” się podobał w Wenecji, pani Aleksandrze w „Przekroju”, kilku szlachetnym przeciwnikom reżysera Jerzego Kawalerowicza, a mnie nie. Ja przecież lubiłem jego dotychczasowe filmy. Powie Pan, Panie Adamie, że snobuje się, żeby pisać trochę inaczej. No, to co — nienajgorsze uczucie ten snobizm. może mnie wysłać do Wenecji,

FILM

„Lotna”

— barwny film Andrzeja Wajdy. Na tle świetnie malowanego kamery Jerzego Lipmana obrazu tragicznego września toczy się opowieść o garstce ulanów z udziałem Jerzego Pichelskiego (rotmistrz) Adama Pawlikowskiego (porucznik) Jerzego Moesa (podchorąży) i Bożeny Kurowskiej (Ewy).



Jest to bardzo romantyczna historia — tak romantyczna, że niektórzy nawet bardzo romantyczni ludzie do tej pory lamia sobie nad nią głowy. Lecz i tak niczego nie dojdą. Panna Abigail Ardsley ma kupę forsy. I nie należy do tych, którzy mówią.

Pewnego zimowego wieczoru grupa mieszkańców Brooklynu przejeżdżała samochodem przez most manhattański, chcąc złożyć wizytę facetowi nazwiskiem Lance McGowan, znanemu wszem i wobec wzdłuż całej Broadway z tego, że jego interesy stoją świetnie.

Powszechnie było wiadomo, że Lance stanie się któregoś dnia jednym z największych potentatów od importu napojów wysokochłonnych — jest bowiem bardzo sprytny i ma dużo znacznych koneksji w całych Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Poza tym Lance McGowan jest młodzieńcem o ujmującej powierzchowności, kutym na cztery nogi, chociaż niektórzy obywatele twierdzą, że nie wykazuje zbyt zdrowego rozsądku, usiłując wpechać się w interesy Angiego w Brooklynie, jako że Angie „Wól” jest sam dostawcą, i że świetnie idą mu również inne interesy, z wymuszaniem i wykańczaniem właścicieli.

Lance McGowan nie widzi powodu, dla którego nie miałby ulokować swych importów w tak doskonale prosperującym rejonie jak Brooklyn, tym bardziej, że jakoś jego towaru znacznie przewyższa wszystko, co dostarcza „Wól”.

Tak czy owak, Angie jest jednym z mieszkańców Brooklynu, którzy życzą sobie złożyć grupową wizytę Lance'owi McGowan. Prócz Angiego jest tam jeszcze gość nazwiskiem „Zgrywus” Max, wybitna osobistość w Brooklynie, oraz drugi, nazwiskiem Kid

i każdy, kto czytuje gazety, wie, iż panna Ardsley ma taką kupę forsy, że aż serce boli na myśl o tym — szczególnie tych, którzy w ogóle groszem nie śmierzda.

Pieniądze zostawił jej ojciec — stary Walde Ardsley, który zrobił je we wczesnych dniach istnienia miasta, skupując działki pod budowę, zanim ludzie zorientowali się, że będą one później tak wiele warte. Waldo Ardsley był to ekscentryczny stary facet, nadzwyczaj surowy dla swej córki. Tak długo nie pozwalał jej wyjść za mąż, ani nawet zamaryć o tym, że wreszcie zestarzała się i przestała myśleć o małżeństwie. Teraz jest to osoba bardzo ekscentryczna. Tak ekscentryczna, że zerwała zupełnie ze wszystkimi, o szczególnie z gromadą krewnych, którzy mieli ochotę z niej żyć.

Panna Ardsley żyje w wielkim domu zupełnie sama, z wyjątkiem dwójga starych służących. Bardzo rzadko widują ją w mieście. Za to krąży o niej tysiąc dziwnych historii.

Kiedy więc Lance McGowan znalazł się na dziedzińcu, natychmiast zaczął się rozglądać za jakimś wyjściem. Widząc wysuwającą się zza muru łufę fuzji, a za nią brzydkią mordę Angiego „Wola”, Lance McGowan spróbował bocznymi drzwiami domu. Drzwi puściły i Lance znalazł się w obszernym, pięknie umeblowanym pokoju, obwieszonym olejnymi obrazami, obstawionym tu i tam figurkami, i wielkim aż do sufitu stojącym zegarem.

Był to pokój wyglądający tak przyjemnie, że Lance wielce się zdziwił, gdyż spodziewał się wnętrza typowego tajemniczego pokoju, jak to się ogląda na filmach, z próchniami, pajęczynami.

Jedyną osobą w tym pokoju była mała, stara dama, ubrana na biało. Siedziała w niskim fotelu na biegunach, przy kominku,

jej chłopcu został dotąd, dokąd zawleja się nie uczisz. Ale pan Ardsley rozświeczeni bólem i sceną, której stał się świadkiem, był niewzruszony i nakazał młodemu człowiekowi zwinąć żagle.

Następnego ranka znaleziono nieszczęsnego młodego faceta zamarniętego, obok bocznych drzwi. Owa zaś burza śnieżna była sławnym huraganem z 1888 roku — wydarzeniem znanym w dziejach Nowego Jorku. Domyślano się, że młody człowiek musiał wrócić po pewnym czasie do drzwi szukając schronienia przed wichrem, ale ojciec zamknął je na wszystkie klucze, a nikt w domu nie słyszał kołatania.

I — rzecze panna Ardsley, po zrelacjonowaniu tych wszystkich szczegółów — nie odezwałam się do mego ojca nigdy więcej, jak długo żył i nigdy żaden mężczyzna nie wszedł ani nie wyszedł przez tamte drzwi, jak zreszła przez którekolwiek drzwi tego domu, aż do chwili, w której pan pojawił się dzisiejszej nocy — mimo iż te drzwi nigdy nie były zamykane na wypadek, gdyby jakiś młody człowiek kiedykolwiek szukał schronienia.

Popatrzyła przy tym na Lance McGowana w taki sposób, że ten zaczął się zastanawiać, czy też czasem panna Ardsley nie słyszała oberżniętych dubeltówek kiedy Angie „Wól” i „Zgrywus” Max usiłowali naspikować go ołowiem. Był jednakże zbyt dobrze wychowany, by zapytać.

Wszystkie te wspomnienia sprawiły panie Ardsley wielką przykrość, tak że nawet zaczęła płakać — a jeśli jest coś, czego Lance McGowan nie wytrzyma, to właśnie widoku płaczącej laluni, nawet kiedy jest bardzo stara. Chcąc więc rozweselić pannę Ardsley, klepie ją po ramieniu i tak powiada:

Angie leży martwy jak gwóźdź w drzwiach, Zgrywus Max jest jeszcze bardziej martwy, Wszawus Kid zaś robi kupę hałasu z powodu kuli w nodze. A poza tym nikt nie może sobie przypomnieć, jak wyglądał facet, który ich rąbnął z wyjątkiem dwóch kapusiów, którzy zeznają, że wyglądał kulek w kulek jak Lance McGowan.

Tak więc następnego dnia wczesnym rankiem detektyw Johnny Brannigan kładzie łapę na Lance McGowanie za przedziurawienie Angiego „Wola” i jego dwóch przyjaciół. Jest przy tym wielka radość wśród glinarzy, ponieważ właśnie wszystkie gazety zażarcie wieszały na nich psy twierdząc, że jest w mieście za dużo bezprawia i żądają, aby wreszcie kogoś za coś aresztować.

Przyskrzypienie Lance'a jest więc wodą na młyn wszystkich razem i każdego z osobna. Wydaje się rzeczą pewną, że Lance będzie surowo ukarany, a być może czeka go i hotel elektryczny, mimo iż obrońca jego jest mecenas Goldstein, najpoważniejszy prawnik w całym mieście. Ale nawet mecenas Goldstein przynajmniej, że Lance jest w kropce, szczególnie gdy gazety zaczynają domagać się sprawiedliwości i drukują długie historie o jego kliencie, wraz z fotografiami i trzydziestymi wyzyskami. Lance zaczyna się wreszcie także martwić swą sytuacją, choć do tej pory takie drobnostki, jak oskarżenie o morderstwo pierwszego stopnia, nie sprawiły mu nigdy kłopotu.

Aż do rozpoczęcia procesu wszyscy stawiają 3:1 przeciw Lance'owi. Cena poszła w górę do 5, gdy oskarżyciel publiczny przedstawił akt oskarżenia i udowodnił na podstawie zeznań kapusiów, że dokładnie o 12 w nocy z dnia 5 na 6 stycznia Lance McGowan wszedł do knajpki Charleya „Zabawy” i przedziurawił Angiego „Wola”, „Zgrywusa” Maxa i „Wszawego Kida”.

Było już późno po południu, kiedy mecenas Goldstein wstał i rozglądając się po sali sądowej, powiada tak:

— Proszę wezwać na świadka pannę Abigail Ardsley. — Na salę wchodzi mała, stara lalunia w czarnej, jedwabnej sukni, sięgającej prawie podłogi i takimż czepku obramianym jej białe włosy i twarz.

Nikt nigdy nie widział tyle kłaniania się i szurania nogami w sali sądowej. Kłaniał się nawet sam sędzia, a ja chociaż byłem tam tylko widzom, robiłem to co i wszyscy, gdyż uważam, że każdy, kto ma takie hopy, jak panna Ardsley, zasługuje na ogólny szacunek.

Gdy stanęła przed trybunałem, wszyscy stłoczyli się wokół niej a na ulicy o mało nie wybuchła ruchawka, gdyż ze wszystkich stron nadbiegli tłum, by zobaczyć najbogatszą staruszkę świata.

Kiedy wszystko się wreszcie uspokoiło, mecenas Goldstein tak przemówił do panny Ardsley:

— Panno Ardsley, proszę spojrzeć na oskarżonego. Czy może rozpoznaje go pani?

Mała, stara lalunia przygląda się Lance'owi i potakuje. — Lance uśmiecha się do niej szeroko, a mecenas Goldstein powiada:

— Czy to on był gościem w pani domu w nocy z 5 na 6 stycznia?

— Tak — powiada na to panna Ardsley.

— Czy jest jakiś zegar w tym pokoju, w którym przyjmowała pani oskarżonego? — pyta dalej mecenas Goldstein.

— Tak jest — odpowiada panna Ardsley. — Jest tam duży stojący zegar.

— Czy przypadkiem nie zauważyła pani, i czy nie mogłaby sobie teraz przypomnieć godziny, którą ten zegar wskazywał, kiedy oskarżony opuścił pani dom?

— Tak — powiada panna Ardsley, — zauważyłam. Była właśnie 12 na zegarze, punktualnie 12 godzin.

To zeznanie wywołuje wielką sensację w sądzie, bo jeżeli o 12 godzinie Lance McGowan opuścił dom panny Ardsley na Zachodniej 54 ulicy, to każdy wie, że nie mógł się znajdować w tym samym czasie w knajpce Charleya, chyba żeby był czarnoksiężnikiem. Sędzia zaczyna więc bardzo surowo patrzeć znad okularów na gliniarzy zgromadzonych w sali sądowej, a gliniarze spode łba na kapusiów. Kapusie woleliby się nigdy nie urodzić, gdy „blacharze” zaczęły z nimi robić cbrachunki.

Co więcej, faceli z prokuratury, którzy oskarżali, wyglądają na bardzo zadowolonych. Ławnicy pomrukują coś do siebie, a mecenas Goldstein stawia wniosek o umorzenie sprawy przeciw jego klientowi. Sędzia opowiada się za wnioskiem i dodaje, że jest już najwyższy czas, by „blacharze” w tym mieście nauczyli się być trochę bardziej ostrożni, kiedy kogoś aresztują za morderstwo. Prokuratorzy zaś nie mają na to żadnej odpowiedzi.

Kiedy Lance opuszczał salę sądową wolny jak ptak, zatrzymał się przy panie Abigail Ardsley i podał jej rękę dziękując. I choć nie słyszałem tego osobiście, ktoś mi potem relacjonował, że panna Ardsley powiedziała do niego pół głosem.

— Będę pana znowu oczekiwać którejs nocy, młody człowieku.

— Której nocy, moja złociutka — odpowiedział Lance — punktualnie o 12 godzinie.

Po czym odszedł do swoich interesów a panna Ardsley do swoich, i przez długi czas wszyscy mówili, jak to pięknie gdy lalunia tak bogata jak panna Ardsley walczy o sprawiedliwość, by ocalić gościa jak Lance McGowan od krzywdzącego wyroku.

Ale oczywiście najlepsze w tym wszystkim dla Lance'a było to, że panna Ardsley nie wyjaśniła sądowi, iż ongiś po znalezieniu swego kochanka zamarniętego na śmierć, zatrzymała w swoim domu wszystkie zegary na godzinie, w której go widziała żywym po raz ostatni. Tak więc od 45 lat zegary w jej domu wskazują zawsze 12-tą.

tłum. i opr. T. S.



Rys. JERZY NAPIERACZ

„Wesz”, który nie jest co prawda równie wybitny, ale którego uważa się za młodzieńca bardzo obiecującego pod wielu względami. Ten ostatni wykazuje podobno dużo zręczności, kiedy ktoś życzy sobie wsadzić kogoś w worek, co zresztą uważane jest w Brooklynie za świetny kawał. I faktycznie Kid „Wesz” ma ze sobą tej nocy, o której mowa, konopny worek, a wszyscy zamierzają wsadzić w niego Lance'a McGowan — ot, tak dla śmiechu — kiedy mu już złoży wizytę.

Otóż wydawało im się, że mają Lance'a McGowan prawie w worku. Wiedzieli bowiem, że zawsze wieczorem, gdzieś koło godziny 10 chadza on wzdłuż 54 ulicy w kierunku Park Avenue, do lokalu zwanego Klubem Śpiewającego Ptaka, gdzie spotyka się wybredna klientela. Lance chadza tam dlatego, że częściej interesuje go jego własnością, a poza tym lubi pokazywać pięknym laluniom swoje kształty, obleczone w dobrze skrojony garnitur.

Ta więc grupka mieszkańców Brooklynu jedzie swoim samochodem wzdłuż trasy Lance'a, a gdy go dopędza, Angie „Wól” i „Zgrywus” Max wyganiają z oberżniętych dubeltówek. Kid „Wesz” trzyma tymczasem worek kombinując — jak sądzi — że Lance McGowan, wystraszony fuzjami, wskoczy do niego jak królik. Ale Lance nie jest taki frajer.

Kiedy pierwszy ładunek ołowiu przelatuje mimo, nie trafiając, bez namysłu przeskakuje mur biegnący wzdłuż ulicy i zapada w podwórko z drugiej strony. Wtedy Angie „Wól”, „Zgrywus” Max, i Kid „Wesz” wylazła z samochodu i podbiegają do ściany w obawie, iż jeśli McGowan zacznie teraz pruć do nich zza muru, to najgorzej im się dostanie. Bo nie przypuszczają oczywiście, że Lance mógłby spacerować po mieście bez spluwy. Ale Lance nie ma przy sobie maszyny, bo jej wypukłość psuje kształt jego torsu, kiedy ma na sobie obcisłą marynarkę.

McGowan tkwi ukryty za murem, bezbronny. Mur otacza spory dziedziniec starego dwupiętrowego domu, dobrze znanego wszystkim w tym mieście i wskazywanego przez kierowców wycieczkowych autobusów jako dom wielkiej tajemnicy. Jego właścicielką jest stara dama nazwiskiem Abigail Ardsley

na którym płonął ogień i robiła na drutach. Zaskoczony McGowan zaczął już kombinować, że najlepiej byłoby przyduzić starą lalunię, zanim zacznie piszczeć o zandarmów, gdy kobieta spojrziała na niego z uśmiechem i powiedziała łagodnym głosem: — Dobry wieczór.

Nim się spostrzegł, siedział przed kominkiem gwarząc tak przyjemnie, jak tylko można sobie wyobrazić. Panna Abigail Ardsley nie wydawała się zalekniona, ani nawet bardzo zdziwiona, widząc Lance'a w swym domu.

— Pan jest młody — mówi stara lalunia, spoglądając na jego twarz. — Wiele lat upłynęło od czasu, kiedy młody człowiek przekroczył próg tamtych drzwi w głębi. Tak, tak, — powiada — wiele lat. — Westchnęła przy tym głęboko i wyglądała tak bardzo smutnie, że wzruszyło to nawet Lance'a McGowan.

— 45 lat teraz — mówi kobieta cichym głosem, jakby do siebie samej. — Taki młody, przystojny, i taki dobry. —

I choć Lance nie był w najlepszym nastroju do słuchania wspomnień, dowiedział się o tym, jak panna Ardsley była kiedyś bardzo rozkochaną w młodym faciele, który pracował jako urzędnik w biurze jej ojca. Ojciec panny Ardsley był starym kutwą i nawet nie chciał słuchać, by jego córka miała cokolwiek do czynienia z biednym człowiekiem. Kochankowie nie odważyli się dać poznać ojcu, jak im bardzo na sobie zależało. Najprawdopodobniej jednak adorator panny Ardsley miał sporo energii i każdej nocy, kiedy ojciec zasypiał, przychodził do dziewczyny, wpuszczany przez te same boczne drzwi, którymi wszedł do domu Lance McGowan. Potem siadywali przy ogniu, trzymając się za ręce, rozmawiali cichymi głosami i planowali, czego to oni nie zrobią, kiedy wreszcie młody człowiek dochrapie się piędzdy.

Jednakże którejs nocy ojciec panny Ardsley cierpiał ponoc na ból żołądka i nie mógł usnąć. Zawędrował więc na dół, szukając flaszki z rumem i przyłapał córkę z jej adoratorem. Przez minutę stał skamieniały, po czym rozkazał młodemu człowiekowi iść precz z jego domu.

Na dworze szalała wielka burza śnieżna i panna Ardsley błagała papę, by pozwolił

— Do licha, bardzo dziwi mnie pani oświadczenie, że te drzwi są tak mało używane. Niech diabli porwą, złociutka — jeśli bym wiedział, że w sąsiedztwie jest tak ładna lalunia i w dodatku drzwi do niej otwarte, to ja sam pakowałbym się tutaj w każdą noc. No, cicho, cicho — Lance powiada — pogadajmy sobie i pośmiejmy się trochę, bo możliwe, że ja będę musiał chwilę tu poczekać. Ale moja złociutka, nie ma tutaj coś do picia?

Na to panna Ardsley ociera oczy, uśmiecha się znowu i pociąga za coś w rodzaju szmura, na co wchodzi gość około dziewięćdziesiątki i wydaje się bardzo zdziwiony obecnością Lance'a. Tak zdziwiony, że zatacza się, gdy opuszcza pokój, by na prośbę panny Abigail Ardsley przynieść flaszkę wina i kanapki.

Wino, które przynosi, jest takie, że Lance notuje sobie w pamięci otwarte boczne drzwi gdyż zaczyna nosić się z poważnym zamiarem, aby przysłać tutaj później paru chłopców, by sprawdzili, czy nie ma go więcej.

Tak więc siedzą popijając i zagryzając kanapki. Wreszcie Lance dochodzi do wniosku, że jest raczej nieprawdopodobne, by Angie wciąż jeszcze czekała na niego. Powiada więc, że będzie musiał iść, a panna Ardsley odprawia go do drzwi — tym razem frontowych.

Tak jak przypuszczał, na ulicy nie było nikogo. Udał się więc do Klubu Śpiewającego Ptaka, gdzie kumple niepokoił się już jego nieobecnością, zastanawiając się czy przypadkiem nie trafił do worka Wszawego Kida. Przez ten czas rozszła się już bowiem wiadomość, że Angie „Wól” i jego przyjaciele z Brooklynu kręcą się w okolicy. I faktycznie zaraz ktoś oznajmił Lance'owi, że Angie siedzi w małej knajpce na roku 49 ulicy, stawia wódkę i opowiada, jak to zmusił Lance McGowan, by skakał przed nim przez mur, a to brzmiało bardzo ubliżająco dla Lance'a.

Otóż kiedy Angie wciąż jeszcze stawia wódkę i gardliwie otwierają się nagle drzwi, wpada facet z „kopytem” w garści i zanim ktoś zdążył powiedzieć „hallo”, pakuje w niego cztery kule. Po tym jeszcze po jednej w „Zgrywusa” Maxa i „Wszawego Kida”. W następnej chwili sytuacja wygląda tak, że

M Dramatyczny lot

Młody pilot ppr. Jerzy Iszkowski nie brał udziału w walkach powietrznych we wrześniu 1939 roku ponieważ zabrakło dla niego samolotu, oraz rozkazów bojowych. W końcu otrzymuje polecenie wyjazdu po samoloty do Libanu. Z paszportem polskim w kieszeni przekracza granicę. W roku 1940 przeżywa jeszcze jedną tragedię bezczynności we Francji, skąd próbuje ucieczki na skradzionym samolocie. Wreszcie ląduje w Anglii. Po wielu tarapatkach zostaje wcielony do Polskiego Dywizjonu Bombowego 304 i bierze udział w „Bitwie o Anglię”. W poprzednim odcinku czytaliśmy o pierwszym locie Iszkowskiego, który odbył w składzie obcej załogi z zadaniem bombardowania Rotterdamu.

Zbliżając się do Syerton, zauważyłem na zegarach sygnały wskazujące wysuwanie się goleni podwozia. Pompy zaczęły działać. Przelatując nad Syerton, zawiadomiłem bazę, że z powodu niepokoju wzrostu temperatury głowic i spadku ciśnienia oleju zmuszony jestem do natychmiastowego lądowania w pozycji wysuniętej. Nie mogłem oczywiście zawiadomić bazy, że Stasio zjadł szjfr...

Pogoda całkowicie się zepsuła. Deszcze i niski pułap zmuszały mnie do stałego lotu w mokrych chmurach bez żadnej widoczności ziemi.

Pomimo zgłoszenia bazy poważnego powodu do niezwłocznego lądowania, zabroniono mi lądować i powtórzono poprzedni rozkaz. Gwałtownie odpowiedziałem, że wbrew zakazowi będę jednak lądował i to zaraz z następnego zakrętu po zejściu z chmur. Na to baza połączyła mnie bezpośrednio z dowódcą I-szej grupy Bomber Command RAF-u, gdzie powtórzyłem swoją decyzję. Zgodzili się na moje lądowanie, prosząc tylko, ażeby

PODNIĘBYM SZLAKIEM



wziął pod uwagę wielkie ryzyko mego czynu i przeczekał pięć minut w powietrzu celem dokonania odpowiednich przygotowań na lotnisku. Przygotowano drugi wóz przeciwpożarowy i sanitarkę, personel dyżurny lotniska zszedł do schronów. Podziękowałem za te przygotowania i zażądałem zapalenia reflektora lotniskowego ze skierowaniem pełnych świateł na las, znajdujący się na kierunku lądowania. Po czym wyłączyłem wszystkie radia, pozostawiając czynny tylko telefon pokładowy. Nie chciałem dyskusji w ciężkiej chwili lądowania. Zdawałem sobie doskonale sprawę z trudności. Lądowanie w nocy z pełnym ładunkiem bomb i paliwa, przy uszkodzonych i nieczynnych klapach hamulcowych na skrzydłach, nie było przedsięwzięciem łatwym i bezpiecznym.

Do punktów świetlnych lotniska zbliżałem się z konieczności, znacznie przekraczając normalną szybkość lądowania. Z lewej strony mignęły pierwsze światła Flarpath-u. Czulem, jak krople potu zraszają mi czoło. Sprawa życia lub śmierci było teraz wytracanie szybkości 240 km na godzinę, na stosunkowo krótkim, bo 1000 m liczącym lotnisku.

Z chwilą gdy koła lekko dotknęły ziemi natychmiast wyłączyłem iskrowniki w obu silnikach, włączając jednocześnie pełne hamowanie kół. Rozpędzona maszyna gnała przez

całą długość lotniska, minęła jego skraj. Wpadła na beton perimetru i mimo moich rozpaczliwych wysiłków skrzydłami lekko ocierała się o pojedyncze drzewa na polach. Szybkim ruchem ręki włączyłem pokładowe reflektory. Przede mną w odległości około 50 metrów zamajaczyła czarna ściana wysokopięnnego lasu. Nie było już czasu do namysłu. Instynktownie włączyłem prawy silnik, gwałtownie przesunąłem manetki na pełną moc i ściskając hamulec na wolancie, aż do bólu palców, kopnąłem ster kierunku w lewo. W maszynę jakby wichur uderzył. Skręciła w lewo, dwukrotnie obracając się na miejscu i znieruchomiła w odległości czterech metrów przed lasem.

Dopiero po dobrej chwili byłem w stanie włączyć telefon TR 9 i zameldować do Watch Office:

— Landing o key!
— Lucky boy — odpowiedziano mi. O tak — mieli rację — „szczęśliwy chłopiec“...

Tragiczny finał

Chłodząc silniki przygotowywałem się do opuszczenia maszyny. Załoga na stopniach wjazdu czekała na sygnał zejścia. Nagle odzulem gwałtowne szarpnięcie prawego śmigła. Nie trzeba się było nawet domyślać, że to człowiek został uderzony wirującym sta-

lowym śmigłem. Natychmiast wyłączyłem silniki i zbiegłem z pokładu. Pod prawym silnikiem leżało pokrwawione ciało ludzkie. Od razu znalazłem mojego tylnego strzelca — sierżanta Ziębę. Nieprzytomny chłopiec rzucał. Potężne łopaty śmigła rąbnęły go w głowę i w rękę, miażdżąc czaszkę i kości. W stanie beznadziejnym przewieziony został do szpitala.

Odwiędziłem go zaraz następnego dnia. Na chwilę odzyskał przytomność i sam opowiedział mi, jak doszło do wypadku. W pewnym ciężkim momencie lądowania wydawało mu się, że załoga otrzymała rozkaz skakania na spadochronach. Nie namyślając się długo, odsunął wąż wieżyczki, chwycił spadochron, zabezpieczył go na hakach piersiowych i rzucił się w przepaść głową w dół. Ponieważ działał się to już, kiedy samolot stał na ziemi, przeto spadając z niskiej wysokości spaść uderzając głową. Później już niczego nie pamiętał. Można sobie było wyobrazić, że sierżant Zięba oszołomiony nagłym upadkiem, położył jak ęma do światła postojowego przy włączaniu, natrafiając po drodze na pracujące śmigło.

Zmęczony szeptem stracił przytomność. Wyszedłem porozmawiać z lekarzami. W każdej chwili oczekiwali zgonu Zięby. Po chwili siostry zawezwały mnie raz jeszcze tłumacząc, że sierżant chce mi coś powiedzieć. Wróciłem i znów stanąłem nad leżącym.

Zięba prosił mnie, abym razem z załogą czekał na niego, gdyż on wkrótce wyzdrowieje i razem polećmy na wojnę. Nigdy się to już nie zdarzyło...

oprac. **A. Piodziński**

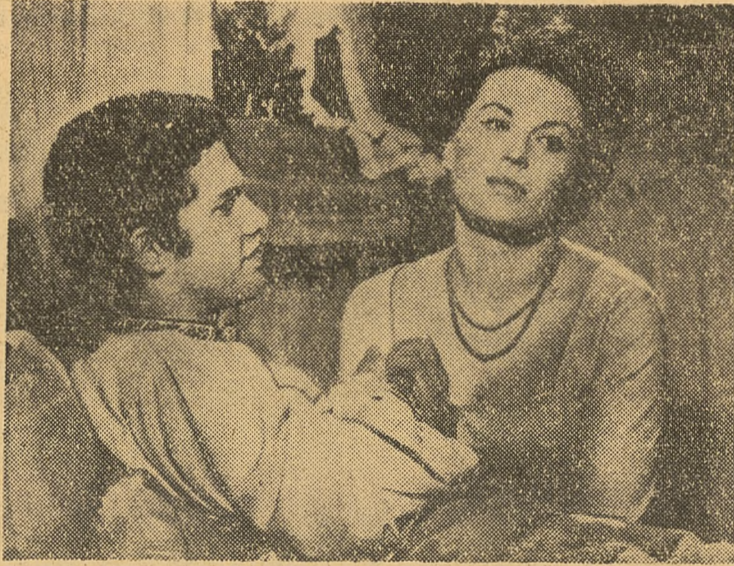
w następnym odcinku: **„BOMBARDUJĘ NIEMCY — NAREZCIE ZEMSTA ZA WRZESIEŃ“**



Torebka-aparat

Na międzynarodowej wystawie wyrobów skórzanych w Offenbach (NRF) pokazano gustowną torebkę. Po wewnątrz-

nej stronie klapy zamontowano... aparat fotograficzny. Po co komu aparat fotograficzny ukryty w torebce? Tego nie wytłumaczono.



Alberto Lattuada

jest słynnym włoskim reżyserem, twórcą wielu interesujących obrazów. Ostatnio kręci film osnuty w dwóch nowelach w Puszkina: „Powstanie Pugaczowa” i „Cór-

ka kapitana”.

Reżyser Grinjewem jest Genser pragnie oddać atmosferę Rosji z ostatniego ćwierćwiecza XVIII wieku. Nazwisko rolami w „Most na rzecę Kwai” oraz „Bon-jour tristesse” (wg. Lejtnantem gwardii Saganki).

KOBIETA, MIŁOŚĆ I HISTORIA

„Wprowadził mnie do piwnice winnej, rozrządził we mnie miłość. Oblóście mię kwieciami... boć mdleję od miłości. Lewa ręka jego pod głowę moją, a prawica jego oblała mnie...”

Na łóżku mojem w nocy szukałam tego, którego miłuję dusza moja: szukałam go a nie znalazłam. Wstałam a obiecałam miasto: po ulicach i po rynkach szukać będę, którego miłuję dusza moja: a nie znalazłam...

Poprzysięgam was, córki jerozolimskie, jeśli najdziecie miłego mego, abycie mu oznajmiły, iż mdleję od miłości. Wody mnogie nie mogły ugasić miłości i rzeki nie zatopiły jej... (z „Pieśni nad pieśniami” — Biblia)

Jakby na przekór tytułowi, słowo „miłość” prawie — że nie pojawiało się na stronkach tego, poświęconego dziejom życia seksualnego i małżeństwa — cyklu. Nie jest to przypadek. Historia udowodniła bezspornie, że miłość, indywidualna miłość płciowa, rzadko chadzała tymi samymi co małżeństwo ścieżkami: że w ogóle jest „wynalazkiem” dość późnym.

W najdawniejszych czasach „człowiek przychodził na świat już zaślubionym — zaślubionym z całą grupą osób pięci odmiennej. W późniejszych formach małżeństwa... miały miejsce zapewne stosunki podobne, tylko przy ciągłym zacieśnianiu się grupy”.

Wydaje się, że mamy prawo nie używać słowa „miłość” zarówno przy omawianiu tych,

pierwszych form małżeństwa, jak i przy następnej jego fazie — małżeństwie parzystym. W zasadzie, mielibyśmy prawo pominąć je także, omawiając następną formę małżeństwa — monogamię. Przede wszystkim dlatego, że decydowały w niej — prawie wyłącznie — przesłanki ekonomiczne — interes rodziny, względy dynastyczne, polityczne itp., że u podstaw małżeństwa monogamicznego brakowało owej „wolnej i nieprzymuszonej woli” obu zawierających jej stron. Nie możemy przecież pominąć zupełnie, gdyż właśnie w okresie monogamii odnajdujemy zarodki indywidualnej miłości płciowej — nieznaney dotychczas starożytnemu światu i jego obyczajom, miłości — słusznie nazwanej „największym postępem moralnym” w dziedzinie obyczajowości.

Czy nie ma tu rzucającej się w oczy sprzeczności? — może ktoś spytać. Naturalnie, sprzeczność taka istnieje. Monogamia bowiem — w sensie historycznym, była formą, w zasadzie wykluczającą miłość. Była przecież równocześnie głębią, z której (obok której, wbrew której) miłość wyrosła. Miłość, wielkie namiętne uczucie, którego „wody mnogie nie mogły ugasić”, które wszystko — nawet życie — stawia na kartę — wywodzi swój początek nie z małżeństwa bynajmniej, a z jego peryferii — ze zdrady małżeńskiej.

„Sredniowiecze zaczyna się od tego, na czym urwał świat starożytny w swych początkach miłości płciowej — od zdrady małżeńskiej... Rycerska miłość sredniowieczna bynajmniej nie była miłością małżeńską.

Przeciwnie. W swej najbardziej klasycznej postaci... miłość rycerska żegluje po morzu wiarołomstwa, opiewanego przez jej poetów. Kwiatem prowansalskiej poezji miłosnej są „alby”, pieśni jutrenki. Opisują one... jak rycerz leży w łóżu swej kochanki — cudzej żony — podczas gdy na dworze stoi strażnik, który go woła z chwilą ukazania się jutrenki” („Alba”).

A „od miłości dążącej do zburzenia małżeństwa do miłości, która ma je zbudować, prowadzi daleka droga!”

Przez parę tysięcy lat niemal szła ona daleko poza granicami „oficjalnego społeczeństwa”. I, jeśli gdzie mogła rozkwitać, wśród ludzi, którzy za nic nie mogli jej sprzedać — ani za tytuł, ani za pozycję społeczną, ani za ziemię czy fabrykę. W starożytności — wśród niewolników, w czasach nowożytnych — wśród proletariatu.

Powie ktoś może: nieprawda! Przecież znamy tysiące utworów poetyckich, pieśni — wśród nich niemało zachowanych z najdawniejszych czasów — mówiących o miłości. A przecież zabytki literatury to istotne dokumenty obyczajowe.

Cóż można na tę krytykę odpowiedzieć? Otóż — po pierwsze — wiadomo, że reguła nie wyklucza wyjątków. I w małżeństwie z okresu jońskiej monogamii mogły się zdarzać wypadki miłości małżeńskiej. W niczym nie zmienia to panującej nateczas zasady, w myśl której kobieta, żona była „przedmiotem użytkowym”.

A słowa „miłość”, „kochanie” w pieśniach — nie musiały mieć i najczęściej nie miały tego znaczenia, które my im dziś nadajemy. „Nasza miłość płciowa różni się istotnie od zwykłego pożądania płciowego, od „Erosa” starożytności”. Nasza miłość zakłada w z a j e m n o ś ć, podczas gdy dawniej kobiety o tę „drobnostkę.. nie pytano nawet.

Czy słowa sumeryjskiego eposu, w którym bogini Isztar wyznaje swą miłość Gilgamešowi oznaczają to s a m o, co my w treść słowa „kochać” wkładamy?

Czy ta sama wątpliwość nie nasuwa się, gdy czytamy staroegipskie erotyki, odczytane z tzw. papyrusów Harrisa, a pochodzących prawdopodobnie sprzed 3,5 tysiąca lat?

A miłość Aswerusa do pięknej Esther czy była czymś więcej niż „przyjemnym obtapieniem”?

Zamiast odpowiedzi przytoczymy słowa powszechnie znanego myśliciela: „I wreszcie powstaje nowe kryterium moralne dla oceny stosunku płciowego: pytamy się nie tylko czy był on ślubny czy nieślubny, ale także, czy był on oparty na miłości wzajemnej czy nie”.

Dziś to kryterium coraz powszechniej staje się obowiązujące — gdy tymczasem w starożytności...? Posłuchajmy:

„A która weszła wieczer, rano zaś (z lożnicy królewskiej) wychodziła i ztamtąd do wotrego domu odprowadzana była, który był pod ręką Susagary, rzezańca... a nie miała wolności wrócić się więcej do króla, ażeby król chciał, a mianowicie jej przyjść rozkazał”. (Biblia. Ks. Esther. rozdz. II).

POZNAJ SAM SIEBIE!

CZY GROZI CI ROZSTRÓJ NERWOWY



Jeśli nie wiesz, a nie masz czasu pójść do doktora, to przekonasz się po uczciwej odpowiedzi na pytania testu.

1. Czy paląc papierosa... tak niekiedy nie zapominasz „o całym świecie”? 50 20 10
2. Czy złościsz się, jeśli żona, syn lub ktoś inny przełożył ci rzecz, której właśnie szukasz? 40 30 10
3. Czy możesz rozmawiać, mimo, że równocześnie mówią inni? 10 20 50
4. Czy jest jakiś człowiek, słowo lub rzecz, dające Ci powód do automatycznego zdenerwowania? 30 10 0
5. Czy są zapachy, które doprowadzają Cię do złości? 30 10 0
6. Czy klniesz w myślach, jeśli nie możesz zasnąć, szycanujących Cię przełożonych lub instytucję? 40 20 10
7. Czy robisz awanturę, jeśli gdzieś ktokolwiek pcha się na czoło czekającej „kolejki”? 30 20 0
8. Czy zrywasz się momentalnie z łózka, jeśli w kuchni kapie woda z kurka? 40 20 0
9. Jeśli w kinie ktoś szeleszczy ci papierem, to obracasz się lub szycysz? 30 10 0
10. Czy są ludzie, których obecność wpływa źle na Twoje samopoczucie? 40 20 0
11. Czy denerwujesz się, jeśli rowerzyści lub kierowcy jeżdżą niewłaściwie? 40 20 10
12. Czy wytrąca Cię z równowagi osobnik, który w Twojej obecności zuje gumę, albo robi nerwowe ruchy rękami? 30 20 10

A teraz proszę zliczyć punkty. Poniżej 150 punktów: Gratuluje! Jesteś bezwstydnie zdrowy. Masz nerwy, których można Ci pozazdrościć!

150 do 310 punktów: Nie wiesz Ci się najlepiej. Ustupujesz w wielu sprawach, ponieważ nie bez słuszności chcesz uniknąć zdenerwowania, które niszczy Ci zdrowie. Ta polityka ignorowania nie zawsze jednak osiąga zamierzony skutek. Powinieneś bardziej panować nad sobą, zachowywać spokój i nie przedzierać się zbyt. Wówczas łatwiej poradzisz sobie z problemami życia i pracy.

Więcej niż 320 punktów: Siadaj na chwilę spokojnie i przemyśl, co jest powodem tego, że zbliżasz się nieuchronnie do kryzysu nerwowego! Może należałoby zmienić miejsce pracy, porozmawiać z żoną, czy też w godzinach wolnych od służby — zając się czymś — co przynosi odprężenie! Spytaj się dobrego lekarza, co sądzi o Twoim stanie nerwowym! Będzieś zaskoczony! Powinieneś jak najszybciej znaleźć powód Twojej drażliwości i usunąć go. W przeciwnym razie — tak jak w tytule — lecz już bez znaku zapytania!

oprac. **JERZY MACHLOWSKI**



FOTOGRAFICZNEGO

Konkurs wakacyjny



Przypominamy, że z dniem 30 września upływa termin nadsyłania prac na WIELKI KONKURS WAKACYJNY. Dotychczasowe wyniki konkursu przeszły najsmielsze oczekiwania. W nadsyłanych zdjęciach znaleźliśmy bogactwo tematyki i wysoki poziom artystyczny, o czym mogli przekonać się nasi Czytelnicy, mając możliwość zapoznania się z pracami reprodukowanymi na naszych łamach. W bieżącym numerze reproduujemy obok dwa dalsze zdjęcia: Autorami ich są: 1. ZYGMUNT POMIANOWSKI, Kraków, Plac Wiosny Ludów 10/9 (pierwsze od góry). 2. ZBIGNIEW WOLSKI, Kraków, ul. Szlak 4/8 (drugie od góry).

Poczta Kącika

KAZIMIERZ PALUCH, Kraków, ul. Bitwy pod Lenino 20/1. Dziękujemy za serię pięknych zdjęć. Niezwykle staranna ich oprawa ułatwi nam ich ekspozycję na projektowanej wystawie.

ALEKSANDER ROMAŃSKI, Zakopane, Kamieniec 6. Z 41 odbitek większość ma charakter zbyt familijny. Jeśli wziąć pod uwagę, że ma Pan aparat od niedawna, osiągnięcia są rewelacyjne. Odsyłamy z prośbą o wykonanie powiększeń na wystawę konkursową.

Co tydzień premia! Czytelnicy oceniają »Zdarzenia«

Zwróciliśmy się do naszych Czytelników z prośbą o nadsyłanie swojej oceny o naszym piśmie. Ocena ma być krótka, ograniczać się do wymienienia poszczególnych pozycji i zaznaczenia w jakim stopniu dana pozycja w bieżącym numerze »Zdarzeń« wzbudziła zainteresowanie. Ponieważ nasza prośba wywołała żywy odzew, postanowiliśmy wśród nadsyłających ocenę rozlosować co tydzień od 2 do 5 książek w zależności od ilości nadesłanych ocen.

Aby brać udział w losowaniu, wystarczy na kartce papieru wypisać poszczególne pozycje a obok nich krótkie uwagi np. 1. przeczytałem jednym tchem. 2. przeczytałem z dużym zainteresowaniem. 3. przeczytałem artykuł bez specjalnego entuzjazmu. 4. artykuł jest zdecydowanie nudny. 5. artykuł nie powinien pojawić się w piśmie. Określenia mogą być oczywiście inne, a skala ich o wiele szersza. Nadsyłane uwagi pozwolą nam zorientować się w zainteresowaniach naszych Czytelników, w ich gustach i upodobaniach. Sądymy, że tą drogą wytworzy się jeszcze ściślejsza więź i pozwoli nam coraz lepiej redagować pismo.

Dziękujemy wszystkim tym Czytelnikom, którzy przesłali już swoje uwagi na nasz pierwszy apel. Każdy może oczywiście przesyłać co tydzień ocenę bieżącego numeru i tym samym brać udział w losowaniu.

W bieżącym numerze premie w postaci książek otrzymują 1. KAZIMIERZ GOŁĄB, Tarnów, Al. 1 Maja 21a oraz MICHAŁINA KAWCZYŃSKA, Rzeszów, ul. Szopena 16/6. Pani Kawczyńska oceniła wprawdzie tylko jedną pozycję ale w sposób bardzo szczegółowy i ostro. Dziękujemy za ostre słowa krytyki.

WITOLD GAWRONSKI, Przemysł, Zwirki i Wigury 22. Zdjęcie interesujące treściowo i kompozycyjnie. Szkoda że tylko jedno.

ANDRZEJ POLAKOWSKI, Poznań, plac Curie-Skłodowskiej 2/35. Zdjęcie z grotu Mylniej interesujące. Drugie ciekawe lecz zażółcone nieco.

FLORIAN MENTEL, Tarnów, H. Sawickiej 1. Interesujące zdjęcie rodzajowe.

WIESŁAW WRONA, Kraków, Praska 51/12a. Zdjęcia ciekawe tematycznie, mało jednak kontrastowe dla reprodukcji w piśmie. Wezmą jednak udział w Konkursie.

J. ŁASZKIEWICZ, Kraków, Kremerowska 10/4. Zdjęcie jak najbardziej związane z Konkursem.

MERKURY. Interesujące tematycznie zdjęcie wspinaczki, pełne ekspresji. Drugie bardziej szablonowe. Prosimy o ewentualne powiększenie pierwszego do formatu 13/18 i ujawnienie nazwiska.

List do redakcji

W związku z opublikowanym w nrze 34(120) »Zdarzeń« z dnia 23 sierpnia r.b. fragmentem wspomnień adw. Z. Hofmokl-Ostrowskiego, proszę Szanowną Redakcję o umieszczenie następującego oświadczenia:

Nieprawdą jest, abym prowadząc dochodzenie przeciwko Hofmokl-Ostrowskiemu o bezprawne puszczenie w obieg weksli kaucyjnych mścił się za wystąpienie wyżej wymienionego przeciwniku memu Ojcu, Wacławowi Sieroszewskiemu. Natomiast prawdą jest, że gdy prowadziłem to dochodzenie w 1932 lub 33 roku, ani ja, ani nikt z mej rodziny nie miał żadnego zatargu z Hofmokl-Ostrowskim. Gdyby taki zatarg istniał, stanowiący on ustawową przyczynę do wyłączenia mnie, jako prokuratora ze sprawy, co Hofmokl-Ostrowski jako doświadczony adwokat niewątpliwie by wykorzystał.

Sprawa rzekomego »plagiatu« z bajek Grimma podniesiona została przez faszyzujący tygodnik »Prosto z Mostu« dopiero w parę lat później (»Prosto z Mostu« zaczęło wychodzić w 1935 r.). Meritum tego zarzutu nie będę poruszał, gdyż opinia literacka dawno się co do niego wypowiedziała, a »Bajki« W. Sieroszewskiego, wydawane w Polsce Ludowej w nakładach sięgających dziesiątków tysięcy egzemplarzy stanowią jedną z najpopularniejszych pozycji literatury dziecięcej.*

W latach 1936—38 adw. Hofmokl-Ostrowski był obrońcą redaktora Stanisława Piaseckiego w jednej z kilku spraw o zniesławienie wytoczonych przez niego Ojca redakcji »Prosto z Mostu«. Napaści adw. Hofmokl-Ostrowskiego na sędziwego wówczas pisarza w toku powyższego procesu zmuszony jestem przypisać faktowi prowadzenia przeze mnie o kilka lat wcześniej wspomnianego dochodzenia.

Tak więc nie prokurator Sieroszewski »mścił się« na adw. Hofmokl-Ostrowskim za krzywdę swego Ojca, ale przeciwnie adw. Hofmokl-Ostrowski »odgrywał się« na Wacławie Sieroszewskim, za nieprzyjemność, jaką mu zrobił syn pisarza, spełniając swój prokuratorowski obowiązek.

WŁADYSŁAW SIEROSZEWSKI adw.

* Czy zarzut »plagiatu« został powtórzony przez piśmko p. Hofmokl-Ostrowskiego »Forum« nie jest mi wiadome, gdyż piśmko to nie było prawie przez nikogo czytane. W świetle przytoczonych powyżej faktów b. możliwe, że tak, co by zresztą tylko bardziej jeszcze podkreślało motyw wy zachowania się p. Hofmokl-Ostrowskiego wobec Wacława Sieroszewskiego.

»ZDARZEŃ« ● POCZTA »ZDARZEŃ« ● POCZTA »ZDARZEŃ« ● POCZTA »ZDARZEŃ« ● POCZTA »ZDARZEŃ« ● POCZTA »ZDARZEŃ« ● POCZTA »ZDARZEŃ«

NAUCZYCIELE DZIĘKUJĄ I PROSZĄ...

Otrzymałmy ze ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO, Zarząd Okręgu w Krakowie następujące pismo:

W związku z przeprowadzoną przez Redakcję ankietą wśród nauczycieli Zarząd Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego w Krakowie składa Redakcji serdeczne podziękowanie za przeprowadzenie ankiety która pozwoli szerszemu ogółowi czytelników »Zdarzeń« poznać tych, którzy, jak to widać z ankiety, mimo niezbyt »różowo« wyglądających budżetów, mimo »apostolstwa«, nie

chcieliby zmienić zawodu, który naprawdę pokochali.

Zarząd Okręgu, zobowiązany dopiskiem Redakcji, pragnie równocześnie wyjaśnić sprawę kolegi, którego jedynym marzeniem jest możliwość uzyskania skierowania do sanatorium. Skrętnie przejrzelismy akta i stwierdziliśmy najstarszy termin 1958 r. W zasadzie wnioszek lekarski ważny jest wg instrukcji 6 miesięcy, w międzyczasie bowiem mogli nastąpić zmiany w organizmie i zamiast poprawy stanu chorego mogłoby nastąpić pogorszenie po leczeniu sanatoryjnym. W wypadkach więc niemożności przydzielenia sanatorium wnioszek zwracamy do odnowienia, ale nie mieliśmy wypad-

ku kilkakrotnego zwrotu wniosku jednej osobie.

Dodatkowo wyjaśniamy, że rozdzielam miejsc do sanatorium zajmujemy się dopiero od 1954 r. Z przykrością musimy stwierdzić, że ilość zapotrzebowań na leczenie sanatoryjne stale wzrasta, liczba ich dochodzi w chwili obecnej do 1100 i mimo najszczerszych chęci nie możemy wszystkich podań uwzględnić, gdyż mamy przyznany przez CRZZ i Zarząd Główny sztywny limit 320 miejsc w ciągu roku i 250 wczasów leczniczych.

Kto znał nadleśniczego Jerzego Jarosza?

W związku z pracą naukową po-

szukuję pilnie rodziny Jerzego Jarosza, zarządcy lasów miejskich w Nowym Sączu, jak również osób mogących mi podać bliższe dane o życiu, pracach i osiągnięciach Jerzego Jarosza; szukam wreszcie osób posiadających jego prace ogłaszane drukiem.

JERZY KOBYLAŃSKI Warszawa 10 skr. 373

Jeszcze raz »Dante i Orbis«

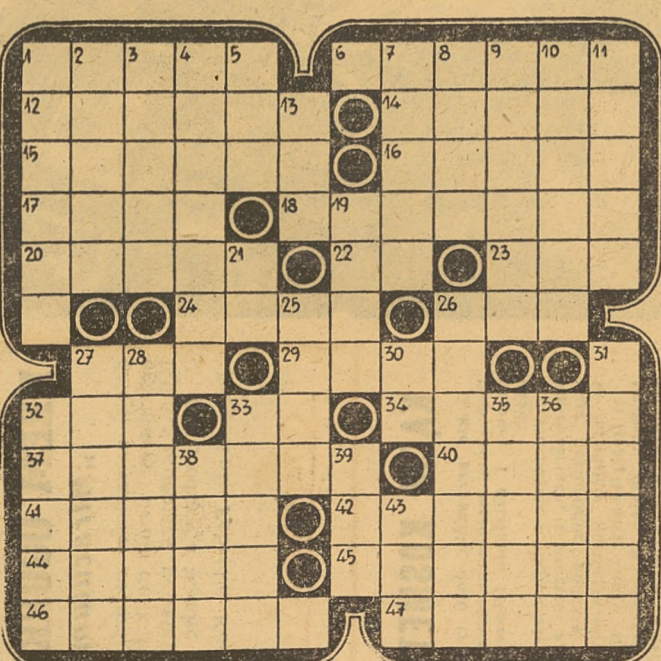
W związku z notatką pt. »Dante i Orbis«, zamieszczoną w nr 34 z dnia 23 sierpnia br. — Zarząd PPiA Orbis w Krakowie uprzejmie wyjaśnia: sytuacja przedstawiona w wym. notatce spowodowana jest ciasnotą lokalu, w którym mieszczą się kasy

przedsprzedaży biletów autobusowych Orbis w Krakowie, przy ul. Szpitalnej 32. Sprawa przydziału nowego lokalu dla tych kas jest już w trakcie załatwiania od kilku lat, niestety jednak dotychczas bez pozytywnych rezultatów. Do czasu uzyskania nowego, obszerniejszego lokalu poprawa istniejącej sytuacji przez zwiększenie ilości kas — jest niemożliwa, w lokalu bowiem przy ul. Szpitalnej 32 mogą być jedynie czynne 2 kasy — co oczywiście — w okresach zwiększonego nasilenia ruchu — nie wystarcza dla sprawniej obsługi klientów.

S. SZYMACHA dyrektor

POZIOMO: 1. Dawna miara długości, stosowana w wielu krajach. 6. Wybitny angielski chemik, uważany za twórcę chemii koloidów. 12. Inaczej: śpiczasta, ostra. 14. Pozorna, fałszywa, nieszcera. 15. Jakis mechanizm. 16. Dawna powszechna moneta europejska. 17. Średniowieczny okręt dwu lub trzymasztowy o średniej pojemności 600 ton. 18. Samotnik, pustelnik. 20. Prawy dopływ Wisły. 22. Inicjały autora »Sagi o szwedzkiej checzy«. 23. Inicjały organizacji techników polskich. 24. Syn Zeusa i Hery. 26. Pierwiastek chemiczny. 27. Marka polskich samochodów. 29. Wieś, pogotka, plotka. 32. Przysłówek. 33. Spółgłoska fonetyczna. 34. Budynek gospodarzy na wsi. 37. Wystąpienie u potomstwa cech przodków. 40. Jeden z trzech muszkieterów. 41. Półwysep między Zatoką Akaba a Suecką. 42. Uroczysta defilada wojskowa. 44. Gatunek papugi. 45. Polski średniowieczny wiec. 46. Nieżyty bion służowych. 47. Wybitny malarz polski, współtwórca z W. Kossakiem. PIONOWO: 1. Możliwość powodzenia, prawdopodobieństwo. 2. Niepojęty, ograniczony, leniwy. 3. Bojaźń, niepokoje. 4. Rodzaj przenośnej żelaznicy. 5. Znany dawniej proszek do szorowania. 7. Metal z grupy platynowców. 8. Imię Naruszewicza. 9. Imię słynnej pianistki polskiej. 10. Bohater wesołych polskich filmów. 11. Słynny rewolucjonista francuski. 13. Znana z plotek boginka

KRZYŻÓWKA



głębka. 19. Oznaczenie podziałów gatunków zwierząt i roślin. 21. Część hektara. 25. Jedno z miast z 12 miast jońskich w Azji Mniejszej, położone przy ujściu rzeki Kaister. 26. Ustalona przepisami budowlanymi granica wysokości, do jakiej wolno wznosić budynki. 27. Utwór ośmieszający ludzkie wady. 28. Zakładnik wzięty dla pewności dotrzymania umowy. 30. Inicjały organu ścigającego przestępstwa. 31. Inaczej: harcowała, skakała, biegła. 32. Narzędzie kuchenne. 33. Członek zakonu Kalasantego. 35. Drugie sianokosy. 36. Ziomek, krajan, współobywatel. 38. Wykrytyk nakazujący natychmiastowe odejście. 39. Inicjały przedsiębiorstw dbających o czystość miast. 43. »Sztuka« w jez. łacińskim.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI z nr 33

POZIOMO: 1. Gobi, 5. puginał, 11. Orywał, 12. Adela, 13. nara, 14. dywan, 15. dno, 16. stok, 18. ary, 19. ognie, 21. dar, 23. gnom, 25. Edyp, 27. Amor, 29. rafa, 31. yak, 33. Eliza, 36. ars, 39. nalb, 40. Zan, 41. rekin, 43. myto, 44. anoda, 45. amidol, 46. basatyk, 47. mara. PIONOWO: 1. gondola, 2. orang, 3. Byron, 4. iwa, 5. plot, 6. gadka, 7. idy, 8. Nawa, 9. alarmy, 10. lany, 16. sen, 17. odina, 20. Igrzy, 22. real, 24. orka, 26. pianola, 28. morena, 30. Feb, 32. annal, 34. Izys, 35. zator, 36. Arab, 37. skos, 39. Irak, 42. Ida, 43. mim.



Kącik filumenistyczny

Zbiory motywowe »architektura« wzbogaciły się o stańco o piękną serię etykietek zapalczkanych »Zamki czechostawskie« — wydana przez Fabrykę Zapalek »Solo« w Suszicach (CSR). Ta oryginalna seria przedstawiająca motywy architektury zabytkowej CSR składa się z 23 sztuk etykietek. Powyżej reproduujemy dwie etykietki. (T.G.)

»Zdarzenia«. Hultrowany tygodniowy magazyn »Gazety Krakowskiej«. Kraków, ul. Wielopole 1, III p., tel. 235-60 (centrala) i 203-67 (bezpośredni). Redaguje zespół w składzie: redaktor Adam Hollanek, sekretarz redakcji Stanisław Peters, grafik Stefan Berdak.

Krakowskie Wydawnictwo Prasowe RSW Prasa, Kraków, ul. Wiślna 2. Warunki prenumeraty: miesięcznik 6 zł, kwartalnik 18 zł, półrocznik 36 zł, rocznik 72 zł. Prenumeratę przyjmuje »Ruch«, urzędy pocztowe i listonosze. Zgłoszenia na prenumeratę zagraniczną przyjmuje »Ruch«, Warszawa, Wileza 46.



Oto trójka: Onassis, Callas, Meneghini. Osobno stoi — pani Tina Onassis, żona miliardera.

PRZED ZAKOŃCZENIEM SEZONU MOTOROWEGO

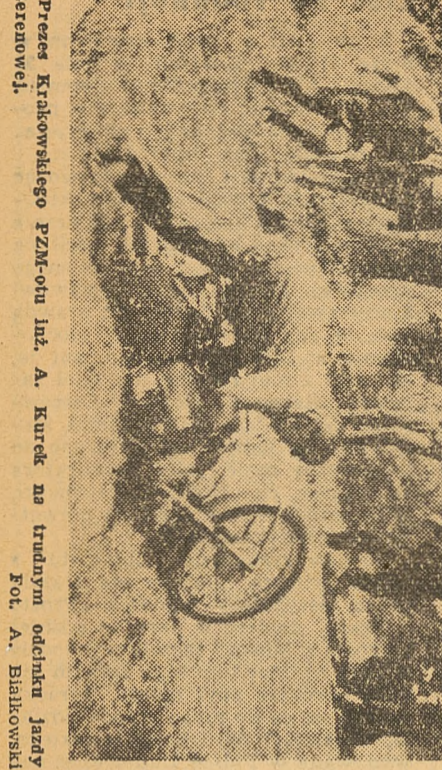
Odlegają już końca imprezy motorowe o tytuł mistrza okręgu krakowskiego. Po eliminacjach na pierwszym miejscu utrzymują się w dalszym ciągu Krakowski Klub Motorowy LPZ i Tatrzański Klub Motorowy LPZ. O tytuł mistrza zdecydowanie ostatecznie eliminacja, która odbędzie się w połowie października w Zakopanem. Tymczasem znane są już wyniki o tytuł najlepszego jeźdźcy motocyklowego wśród odbojów i działaczy. We wrześniowej niedzielnej imprezie organizatorów i sędziów zajęli młodzi zawodnicy. „Starsi” panowie dosiedli stalowych tumaków i na ustalonej trasie walczyli o tytuł najlepszego.

Piękna słoneczna pogoda zapewniła na starcie dość liczną grupę widzów. Podziwiali oni wcale nie najgorszą jazdę tych, którzy stale troszczą się o poziom i wyniki sportu motorowego. Tym razem chorągiewka startowa była sygnałem dla odbojów i działaczy. Wśród startujących widziałem przeważnie Wojewódzkiej Komisji Zawodowych ob. Stanisława Kuruziela, prezesa Zarządu Okręgu PZM ob. inż. Aleksandra Kurka, sekretarza Okręgu PZM ob. Tadeusza Maacka, inspektora Wydziału Komunikacji Rady Narodowej miast Krakowa ob. Tadeusza Bieła, redaktora Tadeusza Tolińskiego i wielu innych.

Na pierwszym odcinku jazdy stylowej w Kryspinowie liczną grupą widzów. Okrzyki i brawa towarzyszyły pokonującym wcale niełatwy paszeczony odcinek. Wyniki odbojów specezyli mnie. Wszyscy przejechali na 0 punktów. Mnie za wyjątkowo w piasku redaktor Adam Holianek, który był sędzią odcinka, zapisał 5 punktów karnych. Dalsza trasa rajdu niemiłej ciekawa, widocznie byli świadkami wielu emocjonujących przeżyć. Na mecie zameldowali się wszyscy startujący odbojów i działacze. W godzinach wieczornych sędzia główny rajdu pan Stanisław Białozek ogłosił „wyniki”.

Według oceny zespołu sędziów zająłem ostatnie sprawiedliwe miejsce, a to dlatego, że wszystkim wziętem był kryspinowski piasek no i sam zawodnik. Organizacja imprezy wypadła na „piłkę”. Młodzi zawodnicy spełniający funkcję organizatorów — bracia Julian i Jan Grochowalscy, Adam Dubas, Bogusław Kurk i inni byli organizatorami dobrego rajdu.

Baczenie oczu sędziów Stanisława Białozka, Litwina, Hahny i Adama Holianek, i innych — sprawiedliwie ocenili zdolności odbojów i działaczy klubów LPZ „Cracovia” i „Smoka”.



Prezes Krakowskiego PZM-otu inż. A. Kurk na trudnym odcinku jazdy terenowej. Fot. A. Białkowski

SKANDAL PRIMADONNY

Primadonna stulecia nazywaną na Zachodzie śpiewaczką Marię Meneghini — Callas, znana ze skandalicznych karysów, z powodu których nie może być zbyt długo zaangażowana w żadnej operze na świecie. Mąż pani Callas to człowiek zamożny. Twierdzi: „Ja stworzyłem tę śpiewaczkę. Zakończyłem się w niej, gdy była grubą, niechlujnie ubraną Cyganicą. Przebrałem ją. Zmieniłem całkowicie. Przecież nie miała wtedy ani centa, nie miała żadnej perspektywy kariery. Stworzyłem z niej arcydzieło. A ona dziś odwróciła się do mnie tyłem.

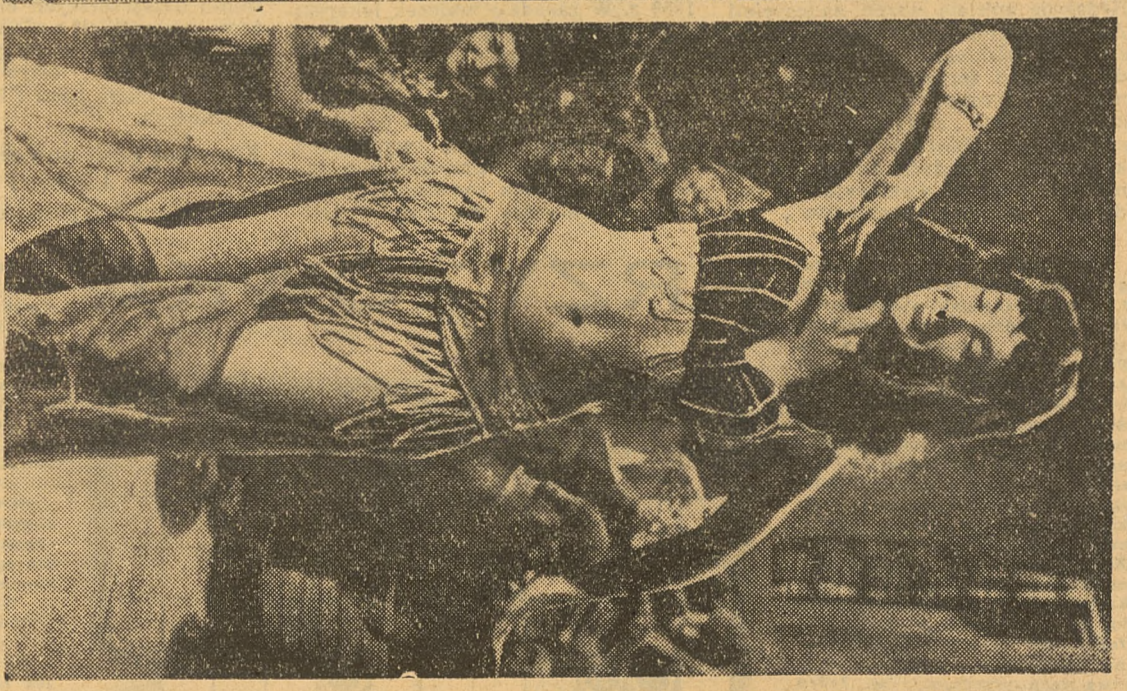
Co myślicie? Onassis wcale się w niej nie zakochał. On tylko chce wypolerować swój miliardowy majątek nazwiskiem sławnej gwiazdy.”

Tak mówi mąż najslawniejszej śpiewaczki świata. Skarży się na niewdzięczność, ponieważ ona rozwoździ się z nim dla multimiliardera greckiego, Onassisa — jednego z najbogatszych ludzi świata. Pani Callas ma 35 lat. Jej mąż — 64.

Onassis — 53. Oba panowie nie należą do pięknych czy szczególnie inteligentnych. Trudno przypuścić, aby „gwiazda” interesowała się nimi z „czystego uczucia”.

Po prostu — stary Meneghini wywalił jej karierę, a bogatszy od niego grubo Onassis stanął wi dźiś lepszą operą — „drogocennego kamienia”, niż dotychczasowy mąż. A więc rozwód i ślub z Onassisem. Oczywiście się do pokonała, przeskoczyła. Najbardziej tożna Onassisa, najlepsza przyjaciółka pani Callas. Cała historia, otoczona skandalicznymi rozmowami, ma charakter prawdziwej opery. I tak ja podaje do wiadomości publicznej nehi satraznu dziennikarce Niemcewicz, amerykańscy i francuscy.

Ps. Podobno miliardar zdobył sympatię pani Callas dzięki swym kontaktom filmowym. Primadonna będzie grała w filmie pod tytułem „Primadonna”.



Walc — blond

To jeden z najnowszych filmów Brigitte Bardot, w którym BB gra nauczycielkę

tańca, detektywa i... złodziejkę. Właściwie tytuł filmu brzmi „Czy chcesz ze mną tańczyć?”, a osnuły

jest na kanwie powieści kryminalnej pt. „Walc-blond”. Oto to BB w tańcu. Z kim? Ze swym młodszym kolegą, dygnym mężem.

Legiony Kleopatry taławi. Treść? Tragiczny koniec egipskiej królowej i jej film włoskiego reżysera Vittorio Cottalini. W rolę Kleopatry występuje Linda Cristal. Antoniuszem jest Georges Marchal. Oto Kleopatra w tańcu.

CO TYDZIEN PIOSENKA

POD REDAKCJĄ LEONARDA W DESKIEGO

FASCINATION

(Oczarowanie) Melodia z filmu „Miłość po południu”. Słowa: Ola Obarska Muzyka: D. Marchetti

Słowa: Onoska

Do ruing 2 lewa you. Vous etes mon amour. Słowa stare „kochać Cię” są zawsze młode. Bo piosenka stara jak świat. Budzi w sercach czule wspomnienia sprzed lat. Powracają dawne młodzieńcze wzruszenia. Wokół znowu wiosna trwa.

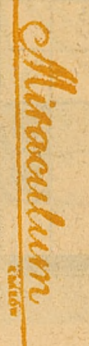
Ta piosenka stara jak świat. Rozdrzmiwiają fale eteru od lat Darling I love you, Vous etes mon amour. Vous etes mon amour śpiewa Orion i Wenus. W rytm piosenki starej jak świat Dziadzio księżyc z Ziemią wiruje od lat. Gdy na strunach tęczy melodia zadźwięczy. Serce sercu szepnie tak.

PROSEKTY „ZDARZEN” NADAJE KRAKOWSKA ROZGŁOSIENIA POLSKIEGO RADIA W KAŻDĄ SOBOTĘ O GODZ. 18 I W KAŻDĄ PONIEDZIAŁEK O GODZ. 12.25.



KREM OGÓRKOWY „Miraculum”

działki zawartości naturalnego soku ogórkowego działa delikatnie wybielająco, zapobiega powstawaniu piegów i odżywia tkanke skórną. Producent: Fabryka Kosmetyków



KAKIK KOSMETYCZNY

Takie przyprawki dość typowych schorzeń skóry wymagają opieki, pielęgnacji, pomocy i działania lekarsko-kosmetycznego.

Postulacie o najbardziej częstych dolegliwościach, z którymi spotyka się lekarz dermatolog podczas swojej pracy w Instytucie Kosmetycznym: 1) Dolegliwość skóry tłustej, jak trądziki, łupież, wypadanie włosów. Jeśli idzie o wypadanie włosów znajdująmy tu nie tylko przyczyny skórne (jokowe), ale również na tle zaburzeń nerwowych i braku witamin w organizmie.

2) Szczególnie w okresie letnim notujemy zmiany barwikowe. Np. plamy i śródskórne przy schorzeniach wątroby, zaburzeniach hormonalnych, albo u kobiet w okresie ciąży. Populane, choć przyzmiślające wiele zmartwień w konfrontacji z lustrem — plamy, wysypki na skórze; a) wadliwe rozłożenia barwnika w skórze, lub są pochodzenia dziedzicznego (tak, jak np. rude włosy towarzyszą piegom i odwrotnie) b) powoduje je zbyt intensywne opalanie skóry (uwaga wciąż aktualna dla wczasowiczów z „tesknocami” do „wyglądu muryzyskiego”), głównie jednak pod tzw. „fórkim stołcem” w mieszkaniu wesołom.

3) Schorzenia na tle grzybiczym paznokci i przetrzeni międzypalcowych (na sporychmy zgrubienia i obłamywanie się, czy kruszenie płytki paznokcia — a miedzy innymi wysypki szwedzkie i podobnie się naskórki). Oczywiście, o miedzielnym te obławy — ze zwykłym zna pomysł te obławy — że zwykłym wierzbem. Zeby się jednak nie mylić — warto zasięgnąć porady dermatologa.

4) Zmiany naczyniowe (jak rozszerzone naczyń krwionośne na twarzy, udach i podudziach — zwane czasem żyłkami) nie ozdabiają was, bo im wcześniej dostarczone — tym łatwiej je likwidować.

5) Nadmiernie owłosienie (u kobiet, proszę panów!) w okolicy brody i górnej wargi oraz niekiedy klatki piersiowej. Są one efektem zaburzeń hormonalnych.

6) Brodawki. Z wyjątkiem, czyli popularnie nazywane kurczakami — na rękach i nogach, lub plaskie — na twarzy i szyi.

7) Znamiona: barwikowe i naczyniowe. 8) Liczne uczulenia skóry twarzy i rąk. Uczulenia np. na barwik (kretka, róż, heanna, ołówek — i to nawet dość znaczące) — i to nawet dość znaczące — nie mówiąc o śwedzeniu i pieczeniu. Tu spotykamy również podrażnienia skóry twarzy po białym smole, stosowaniu mydeł, kremów i innych środków kosmetycznych.